№ 41. Warszawa, dnia 30 Września (12 Października) 1887 r. Rok XXIII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

**Prenumerata w Warszawie.**
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
**Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:**
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

# POGAWĘDKA

Ilekroć zobaczę „jesienne bomby" na ulicach miasta, tyle razy smutno mi się robi i przechodzą mnie lekkie dreszcze; bo to jesień zimową kampanią rozpoczyna od bombardowania nas najpierw kartaczownicą z kartofli, później z buraków, potem przechodzi do coraz większego kalibru arbuzów, melonów, kawonów i kapusty, a kończy na... śnieżnych grudach, które gdzieś tam w niebieskim arsenale muszą już przygotowywać *en masse*, bo pozimniało nagle, jak gdyby to nie początek Października, ale koniec Listopada zapowiadał kalendarz.

Tak niedawno miałem nad sobą, tam na południu, niebo lazurowe i słońca tyle, że możnaby niem wyzłocić na całą zimę tę ponurą, chmurzystą, szarą powałę, która, jak zalany sufit, samemi plamami rzuca się w tęskne oczy Warszawiaków, spoglądających w górę, czy babiego lata nie dojrzą.

W powietrzu snują się wprawdzie już pajęcze włókna, wiatr plącze przędzę jesienną i przyczepia ją ludziom do kapeluszy, ale słońca, ostatnich zalotnych uśmiechów babiego lata, ostatnich gorących westchnień wdowiej natury niéma i pewnie już nie będzie...

Wsuniemy się w zimę, jak w ciemny tunel o zmroku, i będziemy chuchali w palce, jak dzisiejsi passażerowie na kolejach żelaznych, którzy w nieogrzewanych wagonach drżą od zimna podczas nocnej jazdy, ponieważ zimna według kalendarzy dyrekcyjnych zaczynają się dopiero od... 1-go Listopada co roku.

Ach, gdyby wszystko według kalendarza szło w życiu i naturze!... to co?... to mielibyśmy przynajmniej jeszcze trochę ciepła i słońca na pocieszenie.

A tak, musimy się pocieszać czem innem; pocieszamy się np. tem, że spółka owocarska (dlaczego „owocowa"?..) przyszła nareszcie formalnie i prawnie do skutku, bo ostatecznie akt jej założenia został przez wymaganą ilość członków podpisany w drugim terminie u rejenta. Do zarządu wybrano pp. Ed. Jankowskiego, K. Jarońskiego, Leonarda Iwanowskiego, Fr. Szaniora, oraz K. Łuszczewskiego; do rady nadzorcej Dr. T. Kowalskiego, Wł. Przyłubskiego i Sulikowskiego. Postanowiono zajmować się, nietylko handlem samych owoców, ale i sprzedażą przetworów owocowych.

Dotychczas kapitał Spółki wynosi *minimum* funduszu obrotowego rs. 5,000, ale energia, obrotność, pomysłowość i fachowa praktyczność niektórych członków zarządu podnoszą wartość tej summy w rękach zaufanych do dziesięć kroć wyższego znaczenia.

Dopiero z wiosną będzie się mogła rozpocząć działalność naszych „owocarzy", a do tego czasu plan najlepszego obracania zakładowym kapitałem, rozległości przyszłych interesów i tranzakcyi zostanie ułożonym i obmyślanym szczegółowo.

Może też i w ciągu zimy da się jeszcze więcej zrekrutować wspólników i więcej zdobyć udziałów, aby powiększyć fundusz obrotowy na początek przedsiębierstwa.

Z małych ziarnek rosną wprawdzie całe drzewa owocowe, ale spółki owocarskie lepiej się udają, gdy odrazu na tęgim pniu mogą się zaszczepić.

Duch asocyacyi przedsiębierczej sprzyja nam jakoś pod koniec roku; oto i spółka mięsna staje na swoich nogach; w tym miesiącu jeszcze ma się odbyć ogólne zebranie akcyonaryuszów, którzy dotychczas złożyli kapitał wynoszący około 16-tu tysięcy rubli. (Udział wynosi rs. 200). Na czele spółki wymieniają Wincentego hrabiego Walewskiego.

Na próbę wysłany być ma do Paryża pierwszy transport wędliny naszej w ilości 100 pudów; jeżeli polska szynka zasmakuje Francuzom, będzie można dobrze wróżyć o dalszych dostawach.

W przyszłym już miesiącu spółka rozpoczęłaby swoję działalność na większą skalę, ograniczając się na razie do wywozu tylko naszej wieprzowiny, nie dlatego, broń Boże, aby zagranicą myślano, że u nas głównie nierogacizna się udaje, ale raz dlatego, iż to mniejsze przedstawia ryzyko, powtóre, spółka ma na celu podniesienie ceny żywej trzody w gospodarstwie wiejskiem.

Nasi masarze mogliby to zaraz wyzyskać na swoję korzyść i podnieść także cenę swoich preparatów; spółka zatem jednocześnie chce urządzić rzeźnikom konkurrencyą, zakładając w Warszawie wielki sklep wędlin i wyrobów masarskich po możliwie nizkich cenach.

Ktoś tam obliczył, iż jeżeli żywy wieprz kosztuje po dwadzieścia groszy za funt, to szynka z niego nie powinna kosztować więcej, niż dwa złote, a tym czasem sprzedaje się ją u nas po pół rubla, a czasami i drożej.

Może to procent zarobku zbyt wielki, ale widocznie masarze po wielkich miastach całej Europy uwzięli się na publiczność i nakładają na amatorów dobrej szynki haracz tak duży, bo oile pamiętam, wszędzie zagranicą kazano mi drogo płacić za szynkę, prawda, że bardzo często lepszą od naszej.

Spółka mięsna musiała wszelako sprawę tę zbadać dokładnie i oprzeć się na opinii, nietylko tych, którzy zjadają, ale i tych, którzy wyrabiali kiedykolwiek wędliny.

U nas wprawdzie zdarzają się nieprawdopodobne kombinacye zajęć, zawodów i specyalności; przemysłowcy i urzędnicy bywają śpiewakami operowymi, doktorzy literatami i recenzentami teatralnymi, artyści krytykami, literaci lekarza-

użytek przyjaźni, skreśliła własny swój portret [1]). Jest on zajmujący, pisany żywo, jędrnie, ze szczerością, którą znać i w pojedynczych wyrazach i w całym toku myśli. Mogła się portreciska mylić, ale to, co malowała, uważała za prawdę, czuła jako prawdę. Daje się nam widzieć, i w duchowości i w fizyczności swojej. Przyniosła tedy z sobą wiele miłości własnej i popędliwość, a przy żywem, wesołem usposobieniu skłonność do zapadania w głęboki smutek; rozrzewnia się z łatwością, a serce jej nie zna nienawiści i męczy się nią. Ma księżna dość odwagi i nieprędko traci głowę w niebezpieczeństwie. Posiada talent podnoszenia swej wartości. Była zalotną—„i nigdy kobieta subtelniejszej nie posiadała zalotności.“ Nie będąc piękną, miała wiele podbijającego wdzięku. Wrodzony takt strzegł ją od następstw. Szala szczęścia przeważała zawsze w jej losach, ale szczęście to mężowi i dzieciom swoim przedewszystkiem zawdzięcza. Panującem uczuciem jej duszy jest to, które człowieka najdalej unosi od samego siebie, od gniazda wyłącznie własnego, od osobistych zajęć, radości i trosk. „Mąż, dzieci, własne uczucia, tak mi tę niemal religią czynią niezbędną i drogą, że nic mię od niej oderwać nie zdoła.“

Rozumie i odczuwa księżna podniosłość obywatelskich czynów i zasług. W przyjaźni jest stałą, ufną, poświęconą, przyjaciół swoich stawia zawsze wyżej nad siebie; nic nie zdoła zmienić przekonania jej o tych, których kocha, i serce jej „nie oddala się od nich, chyba zmuszone szeregiem krzywd ciągle mu zadawanych lub niewdzięcznością bez przerwy.“ Umysł jej przedstawia się lepszym, bogatszym niż jest; zaniedbane wychowanie wykształcić mu się nie pozwoliło: więcej taktu i gustu, niż rzeczywistej siły, ale wrodzony dar jasnego patrzenia. To, co później o sobie powiedziała: że długie lata czuła się dzieckiem—prześwieca i z tego portretu. Mamy przed sobą istotę żyjącą z całą swobodą naiwności, bez przymusu, przywiązaną do powabu i piękna i domagającą się ich od zjawisk świata moralnego. Nie strach, ale wstręt nią rządzi, jeśli się cofnie przed czem; nie wyrachowanie, nie wzgląd pożytku, ale skłonność bezwiedna rzuca ją naprzód. Idealizm umysłowy i sama nawet moralność jest dla niej potrzebą uczucia.

Żałoba sprzyjała processowi wewnętrznego rozwoju. Zamknięcie domu dla hałaśliwych towarzystw i lekkich uciech trwało nawet dłużej, niż zwyczaj nakazywał. Marszałkowanie księcia Adama na trybunale litewskim w r. 1781 odbyło się bez wszelkiej wystawy domowej, w zupełnej cichości. Pamiętne jest ono sprawą łotra Ogonowskiego, który, dzięki Massalskiemu, przed karą za zbrodnię schronił się do stanu duchownego; ale wykryty i oddany pod sąd, pomimo przeciwnych zabiegów i podstępnie wyłudzonej sukni kapłańskiej, dostał się w moc kata. Biograf księcia Adama Jerzego zaznacza też i fakt skazania na ówczesnej kadencyi w Wilnie rodzonego ojca marszałka, księcia Wojewody Ziem Ruskich. Stanisław Małachowski większej sztuki dokazał, bo z własnego majątku wynagrodził niesłusznie skazanych w processie cywilnym o bardzo znaczną summę.

W r. 1784 zjawił się w Warszawie książę Ludwik Wirtemberski, spokrewniony z wielkiemi dworami europejskiemi i sam należący do jednej ze znaczniejszych dynastyi niemieckich. Był młody jeszcze i przystojny, ale zepsuty już, majątkowo i moralnie zruinowany. Wszedł do zamku, poznał i Czartoryskich. Zwrócono uwagę jego na szesnastoletnią księżniczkę Maryą (ur. w r. 1768), która miała milionowy posag, pierwszą młodość, umysł zdolny i wykształcenie, twarz bardzo powabną i ujmujący wdzięk: zaczął się o nią starać. Rodzicom uśmiechnęły się wysokie kolligacye; oboje, i ojciec i matka, poczuli coś, jakby zapach tronu—i zaczadzieli. Portret własny chybiony był w tem, że się w nim księżna pychy i ambicyi wyparła. Dziecko wzdragało się, opierało, bezwiednie przeczuwając nieszczęścia swe i cierpienia; ale namowy rodziców przełamały opór. W Październiku 1784 r. panna Czartoryska została Księżną Wirtemberską; wkrótce mąż wywiózł ją do swego zamku Belgard w Pomeranii. Odwiedziny u rodziców pana młodego, mieszkających w Montbelliard (we Franche-Comté) rozproszyły, choć na krótko, trwogi młodej kobiety, niewierzącej w pozorną świetność tej partyi, którą zrobiła, a raczej, którą jej zrobić kazano; ale zamieszkanie w zamku mężowskim dowiodło tylko słuszności jej moralnego instynktu. Mąż był dla niej grubijaninem, wymawiał jej nizkość pochodzenia; liczył głównie na miliony, a gdy się zawiódł,—a zawieśdź się musiał, bo długi jego większe były, niż rozporządzalne środki książęcej fortuny Czartoryskich—zaczął się mścić na kobiecie, której los na całe życie zawiązał. Ona cierpiała w cichości i ukrywała niedolę swoję przed rodzicami. Domniemanie Siemieńskiego, że w *Malwinie* własny tylko swój los odmalowała, jest prawie pewnikiem Rodzice spostrzegli dopiero obłęd swój wtedy, kiedy już jego skutki utracić miały moc prawnego i religijnego związku: w chwili, gdy córka ich po niegodziwym czynie męża, musiała już pójść do rozwodu. O ojcu nie wiemy, czy żałował swego postępku i poczuł się do odpowiedzialności; ale matka głęboko przebolała ten arystokratyczny zawrót głowy, to zatrucie się żądzą wielkości, a raczej czczych jej pozorów. Żal nie zmazuje grzechu, świadczy przecież o rozbudzonem sumieniu. Księżna nietylko w pamiętniku swoim przyznała się do winy, ale i współcześnie miała odwagę żywem słowem spowiadać się z niej przyjaciołom rodziny. „Jam to—wołała—nieszczęsną popchnięta ambicyą, spokrewnienia się z monarchami, przymusiła córkę moją do dania ręki bezecnemu....“ [1]).

W Styczniu 1785 r., przed samemi urodzinami królewskiemi, (d. 17 t. m.) zawziętość pani Lubomirskiej na króla i dziwna łatwowierność Czartoryskich wywołały gorszącą sprawę Diugrumowej, o wrzekomy zamiar otrucia księcia-generała. W Kwietniu zapadł wyrok marszałkowski oczyszczający zupełnie osobistości dworskie Ryxa i Komarzewskiego, a skazujący awanturnicę za oszczerstwo na piętnowanie i więzienie, księcia zaś za fałszywą skargę na grzywny. Możnowładzca dostał dobrą naukę. Nie czekał wszakże wyroku i w Marcu już, zabrawszy całą rodzinę, opuścił stolicę, w której narazie nie miał co robić, bez oczywistego wstydu. Sam pojechał do Sieniawy; pani Czartoryska z dziećmi zamieszkała w dawnej siedzibie Sieniawskich, w Puławach.

Wyniesienie się z Warszawy wpłynęło korzystnie na umysł księżny; poprowadziło dalej te edukacyą, którą rozpoczęło było nieszczęście. Trzymano wprawdzie i w Puławach dwór świetny, ale go urządzono rozumniej, ożywiono szlachetniejszem towarzystwem i dostojniejszemi też uciechami. Lekkie, próżne towarzystwa przyciągać już i więzić nie mogły, bo ich nie było; wychowanie dwóch synów, Adama Jerzego i Konstantego, oraz córki Zofii, późniejszej ordynatowej Zamojskiej, nabrało wyższej wartości, i jako zadanie obowiązku, i jako ideał miłości rodzicielskiej. Przy dzieciach własnych kształciły się i obce. Przez lat dwadzieścia kilka istniały na dworze puławskim szkoły: jedna dla młodzieży męzkiej, druga dla żeńskiej. Każde z małżonków miało swoję szkołę, dawało jej kierunek, nadzór i opiekę, a kto raz tej opieki doznał, ten już mógł na nią liczyć przez całe życie. Zapewniano nietylko środki do nauki, dach nad głową i strawę, ale i serce prawdziwą czynną ludzkością bijące. Książę sam poprawiał ćwiczenia swych uczniów, sam ich examinował; księżna szła za jego przykładem. Delikatność, wszczepiona już w obyczaje puławskie, zapobiegała nieporozumieniom i niechęciom. Dziecko zwyczajnego szlachcica, ucząc się i wychowując, miało prawa równie dobre, jak taki Dominik Radziwiłł, Sapieha, lub Adam Czartoryski. Oboje księztwo byli przyjaciołmi młodzieży i zachowywali przyjaźń dla ludzi dojrzałych, księżna kochała swe wychowanki i zapewniała im los w małżeństwach prawie zawsze dobranych.

Co w Pałacu Błękitnym i w powązkowskiem Petit Trianion było dopiero zarysem, tutaj wypełniało, rozszerzyło się, wzbogaciło w treść, zaokrągliło w kształtach zewnętrznych. Życie umysłowe stało się potrzebą, funkcyą organiczną dworu puławskiego. Puławy były przez lat czterdzieści drugą stolicą oświaty wypromieniającej się na kraj. W końcu zeszłego wieku podróżnik Coxe, w surowym swym sądzie o kraju i ludziach, nazywa siedzibę Czartoryskich jasną oazą. Wiedza, poezya, sztuki uzmysłowiające piękno—rozkwitły w niej bujnie. Rozpaliło się stałe ognisko zajęcia dla rzeczy publicznej; myśli i wypadki filtrowały się przez umysły, a w ciągłym ich ruchu wytwarzały się ustawicznie, w każdej danej chwili, pojęcia pożyteczne, zdrowe, budząc i podtrzymując w powszechności dodatnie, obywatelskie uczucia. Wielkie środki materyalne pozwalały gromadzić ludzi wykształconych, książki i zasoby dopomagać w pracach, utrzymywać salon, w jego znaczeniu szlachetnem, nawet w nieobecności pana i pani domu. Ta atmosfera umysłowa i towarzyska Puław, jakiej próżno-byśmy szukali na innych dworach wielkopańskich, była tylko skutkiem promieniowania nazewnątrz światła umysłowego samego Generała Ziem Podolskich, który, sam wydając je z siebie, zarazem go dla siebie od innych potrzebował. Zamiłowanie nauki i oświaty udzieliło się i księżnie Izabelli. Zasada wzajemnego umysłowego i moralnego oddziaływania małżonków w tym podnoszącym wpływie księcia Adama przejawiła się w sposób przekonywający.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# FILISTRY

## Powieść oryginalnie napisana

przez

**M. Gawalewicza.**

(Dalszy ciąg).

### III. Projekta.

Dwa razy w tygodniu, co Niedziela i Czwartek, odbywały się stale familijne obiady w domu państwa Fiszbaumów.

Przy wspólnym stole spotykała się obowiązkowo cała rodzina; z uderzeniem godziny szóstej siadano do stołu. Punktualność tę zachowywano ze względów czysto kulinarnych, albowiem pan Jacenty, kucharz, zapowiedział odrazu przy zgodzie, iż obowiązków swoich podejmie się tylko wtedy, jeżeli chlebodawcy jego poddadzą się stałemu regulaminowi i zaufają mu zupełnie sprawę swego żołądka i podniebienia. Inaczej nie mógł przyjąć odpowiedzialności za ustaloną opinią kuchni bankierskiej i narażać swej własnej sławy pierwszego kuchmistrza w kraju.

Pan Jacenty lat piętnaście przebywał w Paryżu i uczył się tajemnic sztuki kulinarnej u wszystkich znakomitości rondla i patelni; cytował Dumas'a i Brillat-Savarin'a z pewnym pobłażliwym uśmiechem, traktując ich, jako teoretyków i dowcipnych felietonistów w gastronomii. Dumas'owi wytykał zawsze, że pomimo wszelkiego talentu pisarskiego i pretensyi do smakoszowstwa, nie znał się na praktyce kucharskiej, i dlatego zbankrutować musiał, jako fabrykant sosów pod koniec życia, kompromitując się w zawodzie, do którego nie miał uzdolnienia.

Fiszbaum zachwycony był swoim kucharzem, miał dla niego jakiś rodzaj szacunku, należnego artystom, szczycił się nim, jak perłą drogocenną i rzadkością *sui generis*.

Na tych familijnych obiadach pan Jacenty dawał zwykle koncert kulinarny, zastrzegając

---

1) Ob. Życiorys jej syna przez Bronisława Zaleskiego, str. 158—161.

1) *Niemcewicz* „Pamiętnik czasów moich,“ Lipsk, 1867.

wszelako z całą powagą, że prawdziwie dobry obiad może być tylko przyrządzony, co najwyżej, dla dziesięciu osób i musi się odbywać w ściśle oznaczonej porze, podług zegarka, jeżeli doskonałość potraw nie ma ucierpieć na każdem opóźnieniu.

Papa Fiszbaum trzymał się ściśle tego rygoru i przypominał zawsze swoim córkom i zięciom:

— Pamiętajcie o jutrzejszym obiedzie, tylko się nie spóźnijcie, proszę was. Zeszłej Niedzieli baron przyszedł dopiero o kwadrans na siódmą i przez niego mieliśmy kapłona trochę przepieczonego. Wiecie, jak tego Jacenty nie lubi!...

Zastrzeżenia te były tem potrzebniejsze, że na każdym niemal obiedzie kuchmistrz państwa Fiszbaumów, gdy był w dobrym humorze i zadowolony, występował z jakąś niespodzianką, która sprawić miała niezwykłą sensacyą pomiędzy stołownikami.

Jerzbicki unosił się zwykle nad genialnością jego pomysłów.

— To anioł, nie człowiek — powtarzał przy każdej sposobności—w niebie nie mają lepszego kucharza. Ja po jego obiedzie wpół godziny jestem tak głodny, jakgdybym wcale do stołu nie siadał, a przecież wiecie, że sobie nie żałuję i, Bogu dzięki, apetycik mam niezgorszy.

Baron najczęściej milczał, ale on jeden z całego towarzystwa umiał „robić honor“ najwymyślniejszym przysmakom, jak powiadał mistrz Jacenty, który przez lekko uchylone drzwi do sali jadalnej przypatrywał się często fiziognomiom biesiadników po zastawieniu niezwykłej jakiej potrawy. Rzec-by można, że z dumą badał wrażenie swoich arcydzieł.

— Pan baron najlepiej umie jeść ze wszystkich—mawiał do służby—ma dobry ton w jedzeniu. Całego raka rozbierze nożem i widelcem, ze szparagów tylko główki odcina, nie tak jak ten Jerzbicki, który mlaska jak cielę i wylizywałby talerze. To ordynarny sposób jedzenia: prawdziwi panowie tak nie jedzą.

Romuald miał złą kreskę u pana Jacentego za to, że bardzo często połowy potraw z sutego *menu* nie kosztował nawet przy stole i w ogólnym chórze zachwytów udziału nigdy nie brał. Pan Sylweryusz zaś posuwał się do tego, że pofrancuzku prowadził polemikę z *Monsieur Hyacinthem* co do sposobów przyrządzania ryby lub potrawki.

Chciał koniecznie znać się na tem lepiej, na podstawie tego, że swego czasu stołował się w najpierwszych restauracyach Europy i, jak mówił: „nie z jednego pieca chleb jadał.“

Te familijne obiady bywały dla Romualda zazwyczaj ciężką próbą cierpliwości i torturą nie do zniesienia, ale usunąć się od nich nie mógł ze względu na Ludwikę i stosunek swój do teściów, którzy z bardzo kwaśną miną przyjmowali najlżejsze w tym względzie alluzye.

Papa Fiszbaum w zgodnej koalicyi żołądków rodzinnych upatrywał niejako podstawę do harmonii familijnych uczuć i nadawał tym zebraniom córek i zięciów jakąś uroczystą cechę patryarchalną; pod żadnym pozorem dzieci swoich nie chciał zwalniać od udziału przy wspólnym stole i nie uwzględniał żadnej wymówki. Zdawało się niekiedy, że ze stopnia ich apetytu wnioskował o stopniu miłości, jaką mają do niego, i bardzo niechętnie patrzał na każdego, kto przy Lukullusowych tych biesiadach jadł mniej od innych.

— Co to takiego?... Henryka, ty nie jesz dziś pasztetu?—pytał z miną niezadowoloną i podejrzliwą — może ci nie smakuje?... czy nie dobry?... weź inny kawałek. Róża, wybierz jej co lepszego... Ja już nie wiem, co wam kazać podawać do obiadu, półmiski schodzą ze stołu prawie nietykane. Po co ja trzymam tego Jacentego, kiedy się to tylko marnuje!...

Na talerz Romualda spoglądał zwykle spojrzeniem, pełnem wyrzutu.

— Ty Muldziu gardzisz zawsze moją kuchnią— narzekał — jak można nieskosztować nawet bażanta! Ja jestem pewny, że w całej Warszawie nie znajdziesz drugiego kucharza, któryby robił takie pieczyste,—prawda, marszałku?...

Pan Sylweryusz zjadał za siebie i za syna dla sprowadzenia równowagi i dobrowolnie objął przy stole urząd dowcipnego *parleur'a*, bawiącego całe towarzystwo anegdotkami i nowinkami, których zawsze miał całą torbę na pogotowiu.

Przy winie wymyślał najrozmaitsze toasty i posługiwał się najchętniej teraz francuzczyzną, nie tyle ze względu na służbę, słuchającą jego dowcipów i opowiadań, ile dla zwyczaju przyjętego w domu bankiera.

Baronowa przyznawała się otwarcie, że jej owiele łatwiej myśleć i mówić we francuzkim języku, niż w polskim, którego z siostrą dopiero w dziesiątym roku życia zaczęły się uczyć w domu.

Dzieci jej wychowywane były według tejsamej metody pod pozorem, że to najłatwiejszy sposób nabrania dobrego akcentu i przyswojenia sobie francuzczyzny na całe życie. Między sobą wszystkie trzy siostry z matką nie używały prawie języka polskiego. Jerzbicka pierwsza zaczęła się emancypować trochę pod tym względem, odzwyczajona po zamążpójściu od konwersacyi francuzkiej, bo mąż jej nie dosyć wprawnie władał tym językiem a skutkiem tego nalegał na prowadzenie rozmowy popolsku. Ukradkiem wszelako przypominał sobie w swoim gabinecie zaniedbaną z czasów szkolnych gramatykę Ahn'a i czytywał francuzkie romanse, aby wypełnić lukę, która go w towarzyskim obcowaniu, mimo wszystko, żenowała.

Po roku zaczął już niby od niechcenia wplatać francuzkie frazesa, jakgdyby chciał dać wszystkim do poznania, że jeżeli się nie stosuje do salonowego zwyczaju parlowania z teściową i szwagrem pofrancuzku, to dlatego tylko, iż obstaje przy patryotycznym obowiązku mówienia ojczystym językiem między swoimi.

Baron miał szczególniejszą przyjemność poprawiać błędy wymowy i składni Jerzbickiego, co dosyć często doprowadzało do ostrych przymówek między oboma szwagrami.

— Mój baronie, tylko ty mnie nie ucz pofrancuzku — zżymał się Jerzbicki—ucz sobie swoje Julki i Fiutki z baletu dobrze wymawiać. Ja na guwernera znajdę, gdy zechcę, kogoś lepszego. Wam się zdaje, że dzisiaj *parle franse* to coś nadzwyczajnego, a to każdy kelner potrafi. Wyście się uczyli, jak papugi, mówić pofrancuzku na pamięć, a ja—jeżeli chcesz wiedzieć — musiałem język studyować z książki i dziś go lepiej może znam od ciebie, chociaż tak wprawnie językiem nie szermuję.

Baron uśmiechał się złośliwie i z dystynkcyą popijał likier, przy którym zazwyczaj prowadziły się poobiednie gawędki męzkiej połowy towarzystwa. Bawiło go to, gdy się szwagier zacietrzewiał i pąsowiał z irrytacyi i przejedzenia.

Lacki jaknajśpieszniej zwykle zabierał żonę i wymykał się pod pozorem ważnych zajęć wieczorem, do domu. Na owych *siestach* familijnych pozostawał milczącym i zamkniętym w sobie; nie miał o czem rozmawiać i nie umiał nastroić się do tonu, którym przemawiał Jerzbicki, lub ojciec jego. Nudził go banalny temat familijnych pogawędek, a ilekroć coś poważniejszego lub bardziej zajmującego przypadkiem wplątało się do rozmowy z okazyi jednego lub dwóch gości zapraszanych wyjątkowo przez papę Fiszbauma na czwartkowe lub niedzielne obiady, tyle razy uważał, że teść zaczął oczy mrużyć i poziewać, powtarzając bezmyślnie: „a tak, tak, naturalnie.., a rozumie się,“ pan Sylweryusz układał pasyansa, pogwizdując aryetki z operetek, Krulle zajmował się czyszczeniem paznogci swoich, a Jerzbicki, nie ukrywając znudzenia, rozciągnięty swoim zwyczajem na sofie, przerywał:

— Czy wy długo będziecie jeszcze mówić o takich mądrych rzeczach?... albo: — Nie macie już nic nudniejszego do gadania?

Kończyło się zwykle zastawieniem zielonego stolika i nieodzowną partyjką, do której w familijnym kwartecie zasiadał papa Fiszbaum, pan Sylweryusz, Krulle i Jerzbicki, gotowy zawsze do „łojenia skóry” komukolwiek kartami, choćby od rana do nocy i od nocy do rana. Nie znał przyjemniejszej i bardziej urozmaiconej dla siebie rozrywki.

— Preferans — mówił sentencyonalnie — to gimnastyka umysłowa dla głupców a wypoczynek dla filozofów i myślicieli; prawda, papo?... Niech mnie dyabli porwą, jeżeli w tem niéma sensu. Magdziu, pocałuj mnie, bo masz nadzwyczajnego męża. No, co ojciec deklaruje?—słuchamy.

Papa Fiszbaum nakładał złoty *pince-nez* na swój gruby nos i przeglądał karty z takiem zwykle zajęciem, jakgdyby w nich miał wyczytać losy swoich milionów; mimo to mylił się zawsze, poprawiał, kartę cofał, przepraszał, i radził kogokolwiek, najczęściej średniej córki, która uchodziła za wyborną preferansistkę.

— Magdzia, siadaj przy mnie, tu... z prawej strony... ty masz szczęście — mawiał do Jerzbickiej i wierzył, że mu karta zaraz szła lepiej, ile razy po prawej stronie miał swoję stałą doradczynię; lewa szczęścia nie przynosiła, jego zdaniem, a choć się wyśmiewano z tych przesądów, papa Fiszbaum nie pozbywał się ich uparcie. Nie lubił taksamo liczb nieparzystych, obawiał się dni feralnych i za nic w świecie nie byłby usiadł do stołu, przy którym siedm lub trzynaście osób jeść miało; przez próg nikomu ręki nie podawał i wierzył w uroki i przekleństwa.

Powiadano nawet w rodzinie, że bał się po ciemku i dlatego przez całą noc świeciła się zawsze lampa w jego sypialni.

Romuald powoli wtajemniczał się we wszystkie zakryte i niedostępne tajniki rodzinne, mimo to czuł się jakimś zawsze jeszcze obcym w domu swojego teścia; było coś, co go trzymało zdaleka od zwyczajnej konfidencyi familijnej, jakieś uczucie przykrej, nieswojskości, niedopasowania się w nową formę przenikało go bezustannie.

Co więcej, u siebie nawet przy boku żony, nie miał tej zupełnej całkowitej swobody i zadowolenia, jakie daje ciepła atmosfera domowa. Ludwika wydawała mu się bardzo misternem, filigranowem cackiem, pieścidełkiem, na które z lubością można było patrzeć, ale którem trudno było zająć się głębiej przez całe życie. W jej miłości czuł więcej żar młodego temperamentu, jakąś nerwową wrażliwość, niż to błogie, dobroczynne, nieporównane ciepło kobiecej duszy, przenikające całą istotę mężczyzny, kochanego, nie instynktownie tylko, nie samemi zmysłami jedynie; czegoś mu nie dostawało w tem uczuciu, za które nie potrzebował nawet płacić zbyt drogo. Widział się kochanym, ale nie taką miłością, jakiej pragnął od kobiety, nie taką, któraby go zadowolić, dumą przejmować mogła.

Ludwika zaś czuła się szczęśliwą dotychczas z samego dopięcia celu, z tego, że była żoną, że należała do wybranego mężczyzny; wystarczało jej to wszystko, co stanowiko urok zewnętrzny małżeństwa z człowiekiem tego rodzaju, jak Romuald. Nawet jego chłodna powaga nie odstręczała jej, nie ostudzała z zapału dla męża, po którym zdawała się tylko wymagać tego, ażeby pozwolił się jej kochać.

Obsypywała go pieszczotami, obejść się bez niego nie mogła; wymagała, aby był przy niej nieustannie, aby go widziała i czuła przy sobie. Nieraz z całą naiwną, ale despotyczną dobrodusznością mówiła:

— Ja wiem, że ciebie nie zajmuje towarzystwo u mamy, że ty nie lubisz moich sióstr i szwagrów, ale to trudno, mój kochany; musimy żyć z nimi, musimy tam bywać często, bo coby świat sobie pomyślał, zresztą mamie i papie byłoby to bardzo przykro. Oni na tym punkcie nie chcą być wcale wyrozumiali, a potem, jakżeż im powiedzieć: „Mój mąż się nudzi z wami, mój mąż nie chce tu ze mną bywać, mój mąż ma poważniejsze od was myśli, poglądy, pragnienia...“? Wyobraź sobie, że twoja córka i twój zięć dawaliby ci to jawnie i otwarcie do poznania!...

Na takie argumenta nie miał odpowiedzi; kończyło się na tem jednem zawsze, że Romuald przez delikatność ustępować musiał żonie i bez szemrania dusił się w ciasnej sferze swoich nowych stosunków rodzinnych i towarzyskich.

Zajmowały mu one nad spodziewanie dużo czasu.

Pani Rozalja po kilku miesiącach zapytała pewnego razu córki:

— Kiedyż wy się nareszcie zdecydujecie, mo-

ja droga, pojechać z wizytami?... trzeba przecież wejść w świat i zacząć żyć z ludźmi.

Ludwika zrobiła minkę trochę zakłopotaną.

— Pewnie, że trzebaby raz zacząć, tylko, że to się tak trudno nam obojgu razem wybrać. Roma rozrywają teraz na wszystkie strony, ciągle ma jakieś konferencye, sessye, konszachty, ciągną go do rozmaitych instytucyi, spółek, towarzystw; powiadam mamie, że on istną kancellaryą prowadzi.

Matka wzruszyła zlekka ramionami.

— Wszystko to dobrze, ale obowiązków zaniedbywać nie można. Musisz go raz wyciągnąć z domu i przynajmniej tych kilkanaście najważniejszych wizyt zrobić. Już mnie kilka osób pytało: czy wy z nikim a nikim żyć nie myślicie i czy wasze miodowe miesiące nigdy się nie skończą?... powiedz o tem mężowi.

— Dobrze mamo, pomówię z Romem; może w przyszłym tygodniu znajdzie trochę więcej czasu.

— Przyznam ci się, moja Ludko, że mojem zdaniem, twój Rom trochę zawcześnie rzucił się w ten wir publicznych obowiązków;—zauważyła chłodno pani Rozalja — z tem wszystkiem można było jeszcze trochę poczekać.

Po tej admonicyi Ludwika znowu w swój zwykły sposób wymogła na mężu, że rozpoczęli wypełniać obowiązki konwenansu; pojechali z wizytami, których rezultatem były zaraz rewizyty, zaproszenia, nowe znajomości i rosnące z każdym tygodniem stosunki towarzyskie. Młode małżeństwo znajdowało wszędzie podwoje na ścieżaj otwarte, wszędzie witano ich przez życzliwość i ciekawość z podwójną uprzejmością. W ciągu miesiąca zagarnęła młode stadło gęsta sieć stosunków, nakładających na nie niewidzialne, ale ciężkie jarzmo konwencyonalnych obowiązków. To wejście w świat i życie z ludźmi w światowem pojęciu towarzyskich przepisów zaczęło jeszcze bardziej krępować swobodę Romualda.

— Mój biedny męczenniku — mówiła z pieszczotliwym uśmiechem Ludwika do męża— musisz znowu jutro odrabiać swą pańszczyznę; prezesowstwo zaprosili nas na herbatę, którą umyślnie dla nas wydają. Nie zobowiązuj-że się nigdzie na jutrzejszy wieczór. Przyrzekłam wstąpić do Jerzbickich, którzy swego powozu nie mają, więc musimy wyjechać przed dziesiątą z domu.

I tak szło nieustannie; niemal dzień po dniu, wieczór po wieczorze zabierały teraz *jour-fixy* u najbliższych znajomych, obiady i śniadania w rodzinnem kole, rauty, zabawy, koncerta, na których trzeba było być koniecznie, przedstawienia w teatrze, których nie podobna było opuścić, przyjęcia, które wypadało urządzać, wizyty, które obowiązek kazał oddawać. Romuald fraka prawie nie zdejmował z siebie; nigdy w życiu nie przypuszczał przed tem, że potrafi nastarczyć tylu towarzyskim obowiązkom. Wymówić się, wyswobodzić nie było sposobu; zaprotestować nie było możności, miał przeciw sobie większość z żoną, własnym ojcem i teściami, miał miękką ale łykowatą obrożę konwencyonalnej niewoli na karku i poddawać się, chcący czy niechcący, musiał. Wymagał tego po nim „świat“, do którego teraz należał, sfera, w którą wszedł,—stosunki, w które się wplątał.

To życie rozrywane, banalne, powierzchowne męczyło go, nie smakowało mu. nudziło go zawsze, wówczas jeszcze, gdy jako kawaler zachowywał swobodę większą i nie musiał poddawać się wszystkiemu, do czego dzisiaj, ze względu na żonę i stosunki rodzinne, zmuszały go okoliczności.

O poważnej jakiej, systematycznej pracy w tych warunkach pomyśleć było trudno.

Złorzeczył w duszy szałowi karnawałowemu, tej gościnności towarzyskiej, która go tyranizowała, tej hypokryzyi, której się uczyć musiał, ażeby w salonie uśmiechać się, udawać zadowolonego i wdzięcznego za nudy, do których przyznawać się głośno nie śmiał.

Pan Sylweryusz młodszym wydawał się od syna w tym względzie; bywał na dwóch i trzech zabawach niekiedy jednego wieczoru, czyniąc zadosyć wszystkim zaproszeniom. Na mniejszych zebraniach stawał nawet jeszcze do kadryla i przysiadał się do panien, prawiąc im komplimenta z zapałem młodzika o szpakowatych dobrze włosach. Nazywano go „ojczulkiem“ i traktowano wszędzie z wielką poufałością, która zdawała mu się pochlebiać i sprawiać niemało przyjemności. Z damami miał zawsze tajemnice, młodzież bawił anegdotkami, ze starszymi pił, grywał w karty, politykował zawzięcie, a bywał we wszystkich towarzystwach, nawet na artystyczno-literackich środach u hr. Janusza, mecenasa sztuki, jakkolwiek przyznawał, że tam się najbardziej nudzi i wychodzi głodny, jak wilk, po prostych tartynkach i cienkiem winie francuzkiem.

Romuald nie podzielał zdania ojca: ze wszystkich zebrań towarzyskich, owe rauty u hr. Janusza najwięcej przypadały mu do smaku. Spotykał się tu z całą niemal intelligencyą miasta, znajdował sposobność do wymiany zdań, do zawiązywania stosunków poważnych z ludźmi nauki, talentu, wpływów i znaczenia.

Wspaniały salon, służący zarazem za galeryą obrazów, raz w tygodniu podczas zimowych miesięcy zamieniał się na rodzaj towarzyskiej akademii: setki gości ze wszystkich sfer i zawodów zapełniały obszerną salę, w której wrzało często, jak w ulu. Na stolikach rozstawionych leżały najświeższe wydawnictwa we wszystkich językach europejskich, illustracye, dzienniki, plany, które wolno było przeglądać: goście pojedynczo, lub gruppami przechadzali się po salonie, obsiadali stoły, prowadząc poważne rozmowy na temat najżywotniejszy w danej chwili, przyglądali się obrazom, palili papierosy i cygara, pili herbatę, roznoszoną przez lokai w liberyi na dużych srebrnych tacach i starali się mieć minę zainteressowaną, jeżeli ich naprawdę nie zajmowała obserwacya lub rozmowa.

Hr. Janusz, człowiek nie młody, o dystyngowanej powierzchowności arystokraty, starającego się o popularność, z wyszukaną grzecznością przyjmował swoich gości u drzwi salonu, do którego tylko sami mężczyzni wchodzili; każdego z przybyłych witał uściskiem ręki i frazesem w połowie zwykle przerywanym, a pocichu notował sobie w pamięci, który numer z kolei próg jego przestępuje.

Ambicya kollekcyonisty przebijała się w spojrzeniu i wyrazie twarzy gospodarzy, gdy rzucał okiem na salon, zapełniony tłumem literatów, artystów, wyższych urzędników, znaczniejszych przemysłowców, finansistów, professorów, uczonych, redaktorów, duchownych i dygnitarzy wszelkiego rodzaju.

Wśród czarnego mrowia gości we frakach, surdutach i sutannach spotkać można było ludzi wszelkiego wieku, od gołowąsych młodzików, stających w pojedynkę nieśmiało z pewnem zażenowaniem po kątach lub pod ścianami, do sędziwych białowłosych starców, od wymuskanych pretensyonalnie elegantów, śpieszących ztąd przed północą jeszcze na wieczór tańcujący, do zaniedbanych nieco fiziognomii z charakterystyczną czupryną, we frakach nieco wyszarzanych i z mody wyszłych, lub w tużurkach zapinanych na lewą stronę dla lepszego wyglądu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# NOWINY PARYZKIE.

Paryż 1 Października 1887 r.

Champfort i jego sprawiedliwa uwaga. — Zastosowanie jej do tego, co się tu dzieje. — Powrót letniej emigracyi do miast. — Nowy wrzątek. — Mobilizacya. — Niedyskrecya *Figara*; prawdziwy pono powód gadulstwa.—Manifest hr. Paryża.—Wrażenie i skutek. — Książka księcia Napoleona *pro domo sua*. — *Deputat*, powieść p. Claretie. — Sprawa syna Schnäbelego. Ułaskawienie.—Zabicie Francuza na granicy Lotaryngii.—Układy.—Ustępstwo niemieckie. — Sprawa prawie skończona. — Systematyczne oszukiwanie kompanii assekuracyjnych. — Dr. Castelnau.—Człowiek złoty! — Słówko o kongresie stowarzyszenia literacko-artystycznego międzynarodowego w Madrycie.

Champfort w jednym ze swoich listów gdzieś tam powiedział, iż, gdyby można było do społeczeństwa ludzkiego, jakiegobądź kraju, zastosować metodę analizy chemicznej, pokazałoby się wówczas, z jak małej liczby indiwiduów składa się to, co w każdej epoce tworzyło ten pierwiastek rewolucyjny, ten energiczny ferment, który sprowadza tak często radykalne, a zawsze widoczne zmiany w życiu, w polityce, w literaturze, i we wszystkich wogóle gałęziach bytu społecznego i decyduje, albo o postępie, albo o zacofaniu się tej społeczności i o jej wszystkich zmianach.

Jest to wielka prawda, mamy codzienny prawie dowód tego tu, we Francyi, w kraju najprzyjaźniejszym ze wszystkich uprawie tego pierwiastku, gdzie wszelkiego rodzaju zmiany następują po sobie z bystrością dowodzącą energiczności owego fermentu, owego rewolucyjnego pierwiastku.

I tak, weźmy naprzód sam Paryż. Chociaż jest on dwudziestą częścią całej Francyi, jako liczba mieszkańców, a dziesięciotysięczną, jako obszar ziemi, odgrywa przecież rolę tego wielkiego czynnika fermentacyjnego, względem całego kraju i całego *universum* po części. W samym zaś Paryżu, jakże mała jest liczba tych *mikrobów*, które wyprowadzają w ruch i w życie, ten pierwiastek, niesłychanych i wiecznych perturbacyi? Aby się o tem przekonać, zobaczmy: co się tu dzieje w czasie letnich skwarów.

Już też wiadomo dobrze, że w czasie dni kanikuły, cały Paryż nie wypróżnia się przecież do tego stopnia, aby w nim nie zostało ani żywej duszy; przeciwnie, zaledwie trzydziesta część jego ludności może sobie pozwolić tej kosztowej zabawy, jechać gdzieś zagranicę w góry, do morza, albo nawet poprostu na wieś tylko... a w tej trzydziestej części Paryżanów, jakże mała jest cząstka wibryonów, o owym zarodku rewolucyjnym? Nie ledwie na palcach policzyćby można. A przecież wraz z emigracyą tej cząstki *extra muros* Paryża, zapanowuje taka cisza, taki spokój na bruku, jakby wymiótł! dlaczego? Oto dlatego, że prawdziwe i jedyne czynniki opuściły miejsce, w którem żyją i działają zwykle.

To też po powrocie większej części tej intelligentnej emigracyi, co zwykle ma miejsce w pierwszych dniach Września, zagotowało się to, jak to powiadają, jak w garnku. Pierwsza poruszona kwestya, była kwestyą wojowniczą. Przeprowadzano mobilizacyą!... Oddawna przygotowywano się do tej próby, mającej pokazać *in facto* to, co siedmnaście lat pracy i zachodu około wojska przyniosło jako ostateczny rezultat. Należało pokazać i swoim, a więcej może obcym, w jaki-to sposób, i w jakim czasie Francya może stanąć pod bronią. Parlament obmyślał i uchwalił środki, chodziło o dowiedzenie, czyśmy gotowi...

Naturalnie, nie chodziło tu wcale o uruchomienie całego wojska, lecz tylko jednego korpusu. Aby się przekonać o rzeczywistej gotowości, numer korpusu przeznaczonego do tej próby powinien był pozostać w tajemnicy, tak, ażeby za danym rozkazem, uruchomienie odbyć się mogło niespodzianie, nagle i bez nadzwyczajnych przygotowań.

Ale tu wibryon dziennikarski odegrał świetnie swą rolę. Ten odwieczny łgarz i golibroda, *Figaro*, na kilkanaście dni przed próbą ogłosił naraz, nietylko numer korpusu przeznaczonego do wykonania próby, ale i główniejsze rozporządzenia samej jego mobilizacyi, ze wskazaniem okolicy, w której się ta odbędzie. Pokazało się, że kłamca tym razem powiedział prawdę, i że całe ogłoszenie dziennika, było od *a* do *z* prawdziwem.

Ztąd rumor, szczególnie w dziennikach skrajnych; każdy żałując, że się nie jemu dostała gratka tego ogłoszenia, oświadczał swoje oburzenie. Wołano o zdradę, o przedajność, o konszachty z nieprzyjaciołmi. Jakto? *Figaro*, organ zachowawczy nadewszystko, choć rzeczywiście służy on temu, kto mu płaci, i jak mu płaci, zdołał przejąć tego rodzajuj sekretne rozkazy i rozporządzenia ministeryum wojny? Gwałtu! co się dzieje! Wskazywano już niewiernych urzędników, officerów i nawet podofficerów, miano sądzić, ścinać, wieszać! tymczasem mobilizacya szła swoją drogą, powiodła się wybornie, a nawet spełł-

nioną została w przeciągu czasu krótszym o parę dni, niżeli programat urzędowy przewidywał, a powiedzmy: dzięki właśnie tej niedyskrecyi *Figara*, która ostrzegając interessowanych ludzi w tej mobilizacyi, pozwoliła im zawczasu przygotować się do wystąpienia bez mitręgi, w danej chwili.

Niemcy nawet z kwaśną dość miną, ale oddali sprawiedliwość tak pośpiesznej gotowości, szczególnie, że była ona pierwszą w tym rodzaju próbą. Ale są tacy Tomasze, niewierni, którzy powiadają, że ta niedyskrecya golibrody, dopełniła się wspólnie, z dobrą chęcią ministeryum, któremu chodziło właśnie o to, aby przy pomocy niedyskrecyi dziennikarskiej zmniejszyć zamęt w przygotowaniach. Dlatego też cała ta sprawa *Figara* wpadła, jak w wodę, a ponieważ, powodzenie zadawalnia wszystkich, więc i ci, co strasznie krzyczeli w początku, później umilkli.

W ślad zatem, wystąpił na scenę manifest hrabiego Paryża. Dzienniki przyniosły już wam cały, zupełny text tego dokumentu i sami umieliście zdać sobie sprawę z tego, co w sobie zawiera ten rodzaj instrukcyi dla nieurzędowych urzędników przyszłego królestwa. Nie mam potrzeby rozwodzić się nad jego zawartością, ale mogę powiedzieć słówko o wrażeniu, jakie on sprawił wogólności w kraju. Otóż powiedzmy szczerze i otwarcie, że oprócz tak zwanych „kół politycznych“, które są prawdziwie błędnemi kołami. wrażenie to było pozbawione wszelkiej doniosłości; cała massa ludu, jak to powiadają, prostaczkowie, czytając ten manifest zimny, sztywny, adwokacki, niewiele co tam zrozumiała; naturalnie, pretendent, mówiąc do ludu jeszcze nie swojego, musiał mu obiecywać wszystko, co mogło być mu miłe, ale temu ludowi obiecywano już tyle!... Z każdym dniem i z każdemi sejmikami wyborczemi, słyszy on daleko więcej i jaśniej, bo mu trafiają w najtkliwszą strunę: w strunę jego interessów osobistych, które mu zawsze są bliższe, niż ogólne krajowe. A więc przeczytał, jeśli umiał czytać—jeśli nie umiał, posłuchał, co mu drudzy czytali, pokiwał głową i poszedł dalej. Wrażenie więc było żadne, a co najwięcej słabe, bo manifest ten przyszedł w źle wybranej chwili, powszechnego uspokojenia, a więc nieproszony i niepowitany. Powiadam więc, że oprócz wibryonów polityki, nie znalazł innego rozgłosu. Ultra-radykaliści wznowili nanowo z tego powodu krzyki i wymysły, o wypędzeniu reszty pozostałych tu książąt, ale ministeryum, widząc obojętność powszechną, puściło książąt *per non sunt*.

Ale skoro tylko Orleaniści głos zabrali, Bonapartyści nie mogli pozostać w tyle. Jak na zawołanie, książę Napoleon (Hieronim) przypomniał się publiczności, dając odprawę dyatrybom Taine'a, w książce pod tytułem: *Napoleon i jego oszczercy* (détracteurs). Jak się można było spodziewać, dzieło to ma na celu obronę cesarza Napoleona I-go.. Równie, jak w Taine'a gwałtownem i stronnem wystąpieniu przeciw Napoleonowi, ludzie nauki nie znaleźli nic nowego, tak i w książce księcia Napoleona, jest tenże sam brak, wszelkiej nowości, co do przedmiotu i co do szczegółów. Taine zarzucał, książę Napoleon odpowiada na te zarzuty; ale dopiero i tylko sam bezstronny czytelnik, wyprowadzi swoje konkluzye. Taine wielką olbrzymią postać bohatera sprowadził do drobiazgowych i nędznych opowiadań przedpokojowej hałastry. Zapewne, że bohaterowie, jako ludzie, mogą mieć swoje słabostki, ułomności, niedostatki, a nawet śmieszności; ale to nie zmniejsza wcale, ani ich geniuszu, jeśli go mieli, ani wielkich czynów, jeśli je spełnili. P. Taine nie miał więc może racyi z tak powiększającym mikroskopem rozpatrywać tę stronę człowieka, który bądźcobądź, własnemi prawie rękoma postawił tę nowożytną Francyą na tem stanowisku, na którem stoi jeszcze do dzisiaj, chociaż przyjaciele p. Taine'a podkopali trochę te fundamenta. Ale książę Napoleon ze swej strony podnosi postać swego protoplasty na taką wyżynę, iż postać ta przez samo oddalenie maleje w oczach widza, i nie uderza swoim ogromem, bo wszelkie szczegóły zdają się topnieć i zlewać w jednę tylko bryłę. Jak powiedziałem, można przeczytać jedno i drugie wypracowanie z przyjemnością i z pewnym pożytkiem nawet. Można wysłuchać głosów wymownych za i przeciw; ale, jak p. Taine nie zdołał zmniejszyć w niczem posągowej i legendowej postaci Napoleona, tak również, synowiec wielkiego żołnierza nie potrafił nic dodać do tej postaci, która dziś już stoi na takiej wyżynie, iż usiłowania wrogów lub przyjaciół, nie zdołają jej dosięgnąć, w tem, co jest istotną jej zasługą.

(Dokończenie nastąpi).

---

# U BRODU

przez

**Maurycego Montégut**

przekład

**Maryi Kostrowickiej.**

---

GOZDAWIE GOSTKOWSKIEMU

poświęca

*Autor.*

---

## I.

Było to po spotkaniu pod Froeschwiller.

Francuzi, wyprzedzając nieprzyjaciół o dwadzieścia godzin, cofają się ku Châlons, przez Montmédyi działają zaczepnie. Główna część cofającej się armii przebyła już Mozellę i na całej długości rzeki, odpowiednio do wydanego rozkazu, walą się i wylatują w powietrze mosty, co opóźnia przedostanie się Niemców na drugą sronę wody, lecz stanowi też niechybną zgubę dla drobnych oddziałów francuzkich żołnierzy, którzy zbłąkani lub ranni, zbierają się w gromadki i ciągną za armią, lecz, niestety! przybywają nad rzekę za późno i z rozpaczą w sercu patrzą ponurym wzrokiem na głębię szerokiej rzeki, która zagradza im drogę.

— Zapada noc, milczące cienie snują się po wybrzeżu; jedna kupka żywo gestykulujących ludzi, zatrzymuje się przed szczątkami wysadzonego mostu; pozostałe zeń jedno i jedyne przęsło sterczy pośrodku fali niewzruszone, niedostępne!

W miarę upływających godzin zwiększa się coraz liczba ciemnych, cicho przed siebie dążących i łączących się ze sobą postaci. Ale czas nagli, wśród niespokojnych wędrówek tam i napowrót żołnierze wszelkiej broni i stopni nawołują się, pytają, gruntują rzekę długiemi żerdziami, wkrótce zaczynają kląć, ogarnia ich rozpacz, miotają bluźnierstwa, zżymają się na los—na głupi, ślepy los, a potem milkną, zrezygnowani, lecz żałując, iż nie polegli w bitwie porannej w jasny dzień, przy blasku słońca. Rozpalone ognisko staje się bezwłocznie punktem zbornym dla rozpierzchłych; ranni wloką się ku ciepłemu płomieniowi, szerokie teraz koło otacza stos płonących gałęzi. Czas upływa wśród posępnego milczenia.

Nagle wśród przygniatającej ciszy odzywa się męzki, silny głos: — O ośm mil ztąd, w dół rzeki, znajduje się most; może nie zniszczony jeszcze. Trzeba się przekonać... spróbować...

Mówiącym to jest porucznik piechoty; stoi przed ogniskiem, które go oblewa czerwoną łuną i trzyma mapę w ręku, przy migoczących blaskach wpatruje się w nią, a wskazujący jego palec silnie przyciska jedno jej miejsce—jeden punkt, na którym jest oznaczony most przy zawrocie Mozelli. Okalają go inni officerowie, zawiązuje się krótka narada, nareszcie rozbrzmiewa hasło:—naprzód!... i oto wszyscy dźwigają się na nogi, ale daje się zarazem słyszeć bolesny i przeciągły jęk... To ranni, wstać im trudno i skotniali są od zimna przez upływ krwi, więc ten ciepły płomień ogniska, który ich grzał, był im tak miłym, tak miłym niewymownie! Nie mogąc się dźwignąć i czy zdołają iść? a jednak nie chcą pozostać.

Kto będzie prowadził? Kto obejmie dowództwo?—rzuca ktoś pytanie i officerowie patrzą na siebie pytającym wzrokiem, następnie w milczeniu zwracają wzrok na tego, który pytał właśnie, a jest to mężczyzna wysoki, dowódzca dragonów, zdaje się wyższym jeszcze w płaszczu czarnym, spadającym mu do kostek. Jedyny to officer wyższego stopnia. To też teraz odsłoniły się przed nim wszystkie głowy.

— Dziękuje wam, panowie—odpowiada obrany tak w milczeniu wódz i wydaje rozkaz, aby wszyscy jezdni, którzy tylko są zdrowi, bez różnicy stopnia, oddali konie chorym lub rannym. Zagasić ognisko i natychmiast w drogę—dodaje. I dając przykład, aczkolwiek i z jego czoła krew się sączy, pułkownik dragonów odwiązuje swego konia od drzewa i, podnosząc następnie z rowu młodego strzelca, który tam cicho jęczał, sadowi go na siodle i mówi: — Trzymaj się ostro, chłopcze!

Następnie trzymając krótko konia za uzdę, aby szedł równo i prosto, wódz niedobitków postępuje spokojnym, mierzonym krokiem na czele tego oddziału, jakoby widm podążających za nim w ciemnościach nocnych.

Srebrna kula księżyca wypłynęła na ciemny, gwiazdami zasiany błękit nieba, kolumna posuwa się powoli, bo nie wszyscy ranni dostali konie; podpierani przez towarzyszów wloką się ociężałym krokiem, z chwiejącemi głowami i tamowanym w piersiach jękiem, a źrenice ich przysłaniają się coraz ciemnością, jakgdy nieprzezwyciężonego snu. Z początku przecież idą wszyscy w ścisłych, zwartych szeregach, ale wkrótce kolumna wyciąga się i coraz dłuższą staje, aż wreszcie wytwarza się z tego pewien porządek regulaminowy: straż przednią stanowią najmocniejsi; korpus główny chorzy, usadowieni na koniach lub podtrzymywani przez zdrowych; oddział ostatni ranni, niemający przyjaciół i opiekunów. Kuleli przed chwilą, a teraz już potykają się o każdy kamień przydrożny, chwytają się gałęzi, chcą uparcie iść, uparcie, zawzięcie chcą wytrwać—nie chcąc padać na drodze i umierać tam...

Ci żołnierze z różnorodnych pułków, którzy nie znają się, którzy nie widzieli się przedtem, łączą się w gromadki przez co coś, co przeżywa wszelkie klęski. Zdala od rozproszonych pułków, poległych wodzów, straconych sztandarów, poznali się po wspólnym akcencie mowy i te kompanie improwizowane, różnobarwne mogłyby, jak za dawnych czasów odpowiadać do apelu: „Pikardya! Szampania! Gaskonia!” Po nad temi wszystkiemi nazwami dźwięczy przecież dla wszystkich najsilniej jedna nazwa, która spaja ich i jednoczy:—Francya!...

---

## II.

W drodze kolumna zwiększyła się jeszcze. Gdy ciemna jej smuga posuwa się drogą, ludzie podnoszą się z rowów, wysuwają z zarośli i łączą z szeregami. Jak towarzysze Cyda, wyruszyli w trzystu, przybędą w trzy tysiące.

Ośm mil.... fraszka to dla żołnierza wypoczętego, gdy wychodzi z obozu w chłodny poranek; lecz dla tych rozbitków okrwawionych, zmordowanych, krok każdy jest cierpieniem, a cel zdaje się coraz oddalać. Idą jednak, niektórzy porzucili już tornistry i ze strzelbą tylko, przewieszoną przez ramię, z rękami obwisłemi, z przymkniętemi oczyma idą chwiejnym krokiem drzemiących pijaków. Ułani, przygarbieni opierają się na karkach końskich. Dobosz puścił bęben, który się z łoskotem stoczył z pagórka; śmiertelne znużenie zaczyna już ogarniać tych ludzi!...

Lecz nagle szeregi przebiega niepokój: w gęstych zaroślach, z boku postępującej kolumny słychać szmer jakiś... Odgłos to przyciszony, przerywany, jakgdyby ukrywający się, podobny do biegu konia przez leśne drożyny. Dowódzca zwraca głowę w tym kierunku i myśli, co to być może? Kto wie, czy nie szpiegi pruskie, a nawet może to być patrol! Widocznie ścigają kolumnę.

Kilku żuawów podsuwa się pod las z karabinem przy ramieniu, szmer cichnie, potem znów się odzywa, lecz przyczyna jego ciągle nieznana.

Szare światło zaczyna się ukazywać za wzgórzami, wkrótce będzie dzień. Pochód trwa już sześć godzin.

W miarę wzrastającego światła, coraz wyraźniej ujawnia się niewysłowienie smutny, straszny stan nieszczęsnej garsci niedobitków. Noc osłaniała ich nędzę, teraz przypatrują się sobie z przerażeniem. Twarze mają kolor zielonawo ziemisty, pochyloni są, pogarbieni, jak przełamani. Kurz. błoto, brud wszelkiego rodzaju, który się ich czepił wśród tego nocnego marszu, przylgnął do nich, mieszając się z potem; czarno krwiste plamy szpecą poszarpane mundury a większa część ma głowy lub ręce poobwiązane szmatami, wielu z tych, którzy upadali po drodze, są zabłoceni straszliwie, a wszystko to jęczy, trzęsie się pod przenikliwem zimnem poranku....

Nagle wódz woła: — Stój!...

Ale uroczysty głos jego brzmi tak smutno, że wszyscy drgnęli, przeczuwając nieszczęście.

Słońce wschodzi z obudwóch wybrzeży rzeki, która tu wartko się tocząc, zakręt czyni, a po nad wodą sterczą czarne głazy. W miejscu tem miał być most....

Głębokie fale Mozelli płyną szorstko, korytem swem szerokiem. Rozbitki kupią się i patrzą. Z początku patrzą w niemem osłupieniu; następnie zaczynają się podnosić głosy dzikie, jakgdyby nieludzkie. Ci żołnierze, którzy przebyli tyle bitew w dzikiej rozpaczy zgrzytają zębami, jęczą, krzyczą—szaleją z rozpaczy! Jedni z przekleństwem ciskają w rzekę kamieniami, inni łamią karabiny i kładą się na wybrzeżu; inni jeszcze płaczą idyotycznym płaczem małych dzieci. Na stronie stoją officerowie z pochylonemi bezsilnie głowami.

Jeden z dragonów zrzuca z siebie ubranie, rozbiera się donaga, i wszyscy myślą, że oszalał. On powoli wchodzi w wodę. Dwudziestu naśladuje go w tej chwili, lecz bystry prąd ich unosi. Toną, wyciągając ramiona, jak gdyby wzywali ratunku, ale nikt tego nie widzi, wszyscy teraz chcą wpław przebyć rzekę. Wszyscy — ci nawet, którzy pływać nie umieją; nawet ranni, sił pozbawieni. Szał to zaraźliwy i woda chlupie, bryzga roztrącana przez rzucające się w nią ciała. Oficerowie wołają zakazując — proszą, błagają, ale nikt ich nie słucha. Razem zbitych w kupę bezładną ginie w falach rzeki stu ludzi. Trudno wiedzieć: azali to zuchwałe próby przebycia rzeki, czy proste samobójstwa...

III.

W chwili tego śmiertelnego szału zaszeleściały zarośla, stary wieśniak, z twarzą obrosłą, wyglądający prawie jak człowiek dziki, wysuwa się z lasu, wołając wielkim głesem: — Jest tu bród...

— Jest bród!

Wszyscy go słyszą, z ust do ust przebiega wieść: — Jest bród!

I oto ci zrozpaczeni, znów odzyskują odwagę, a prostoduszni, jak dzieci, nie myślą o szpiegach i o zasadzkach. Otoczono wieśniaka. Dowódzca go bada:

— Zkąd jesteś?

— Tutejszy... miejscowy.

— Ty szedłeś za nami przez las?

— Tak!

— Sam?

— Sam.

— Gdzie bród?

— O milę ztąd, tam oto.

I wieśniak wskazuje przebytą już drogę.

— Więc przechodziliśmy koło niego?

— A tak!...

— Wiedziałeś, że most zniszczony?

— Wiedziałem.

— Dla czegoż taki kawał drogi dozwoliłeś nam iść daremnie?

— Bo trzeba było.

— Jakto?

Stary uśmiechnął się chytrze i tłómaczy że Prusacy ich ścigają i są już nie dalej, jak o trzy godziny drogi i że ślady, kończące się nagle u brodu, byłyby go wskazały tropiącym ich. Trzeba więc było koniecznie iść dalej, aby przy powrocie zmieszały się i zatarły ślady stop na błocie, wtedy Niemcy długo będą szukać którędy się przechodzi na drugą stronę.

— Ah!... woła dowódzca, i prosi wieśniaka, aby ratował braci swych w nieszczęściu.

W godzinę później rozbitki przebywają rzekę, wzburzone fale dochodzą im do ramion. Dowódzca, który ostatni brzeg opuścił, wyciąga dłoń do starca i mówi:

— Dziękujemy wam! ojcze...

— Bądźcie zdrowi!—odpowiada wieśniak, oddalając się zwolna.

Po drugiej stronie Mozelli formują się szeregi kolumny, i oddalają się, coraz malejąc na widnokręgu, aż wreszcie giną w mgłach.

Zapanowała znowu cisza.

Wzdłuż wybrzeża przez trawy zmoczone rosą stary wieśniak idzie żwawym krokiem ciągle zatrzymuje się szepcząc: A... już są...

Dwa szwadrony ułanów, z powiewającemi w porannym wietrze chorągiewkami, pędzą wyciągniętym kłusem, zajmując całą szerokość drogi. Z pod kopyt koni bryzga tylko błoto, a stary wieśniak skurczył się i położył pod krzakiem, ale już go spostrzeżono.

— Hej! ty tam, pójdź tu!

Otaczają go, potrącają, wloką przed officerów. Rozpoczyna się badanie; ale stary stał się głuchym idyotą, nic nie rozumie, nic nie wie, nie widział nikogo.

— Szkoda czasu! krzyknął wreszcie kapitan, przemówi on tu zaraz... Idź naprzód! rozkazuje starcowi.

Kulejący, zdyszany, lancami naglony biedak biegnie przed końmi jak laufer. Naraz się potknął, ale padającego podnosi ostrze lancy. — Marsz, Francuzie! krzyczą... Vorwärts! I biedak zbiera siły i bieży tak czas jakiś, lecz nakoniec tchu mu brakuje, nogi uginają się pod nim, padnie lada chwila na ziemię. Prostuje się jednak, dźwiga, bo oto właśnie bród... Ale mijają go, kierując się za śladami. Dwieście kroków dalej starzec pada — bezsilny, blady, z piersią ciężko dyszącą.

— Jechać stępa! kmomenderuje officer—a ty stary naprzód!

Dociągają w ten sposób do ruin mostu na zawrocie Mozelli. Prusacy wiedzieli, że most tu nie istnieje, lecz tu właśnie zatrzymują się ślady; dalej na miękkiem, błotnistem wybrzeżu nie widać najmniejszego znaku przejścia kolumny, jak gdyby Francuzi znikli nagle.

Niemcy osłupieli. Bród przecież nie mógł istnieć poniżej mostu! Oficerowie sztabowi sprzeczają się gwałtownie. Na stronie stojący starzec słucha ich z głową spuszczoną.

— To był podstępny manewr... odzywa się wreszcie jeden zpomiędzy oficerów. Zbiegi cofnęli się z powrotem... Więc wracajmy i my.

Inny czyni uwagę, że teraz trudno już będzie rozpoznać jakiekolwiekbądź ślady, bo i oni przecież przeciągnęli już tędy, ale ten starzec musi przecież wiedzieć doskonale, gdzie tu się bród znajduje.

— Przekonamy się—huknął dowódzca. Ruszaj w wodę, stary psie!...

Stary posłuży im za sondę do zgłębiania rzeki. Wybrzeże ma tu spadek łagodny. Starzec z miną spokojną wchodzi w Mozellę, Idzie a fale dosięgają mu kolan, pasa, ramion, wznoszą się coraz wyżej.

— Wracaj!—woła dowódzca, poczem mówi do oficerów:

— I my zawrócimy, panowie, tu nie może być brodu, tu głębia...

Co sto metrów wpychają starca w wodę. Wzrok Prusaków pilnie go śledzi, widzą też za każdym razem, że starzec skoro tylko oddali się od brzegu traci grunt pod stopami, fala go podrywa i ledwo może wrócić na brzeg, gdy nań krzykną, aby to uczynił.

IV.

Przy ciągłem powtarzaniu tych prób okrutnych, ku wielkiej uciesze ułanów, przybył nakoniec na miejsce gdzie był bród i, niestety! zatrzymano się tu obecnie. Nędzny, przemokły, drżący starzec, którego obrosła twarz ma teraz wszystkie cechy dzikości, staje na głos krzyczący gromko: Halt!... Przeciwny brzeg jest zupełnie pusty, poranne słońce jasno go oświeca, ale stary wie, że Francuzi nie mogą być daleko... O! nie — a niemieckie ułane mają dobre konie...

— Do wody — krzyczą na starca.

— Już nie mogę!... odpowiada.

— Tak. A gdzie bród?

— Nie wiem.

— Więc w wodę...

Usłuchał. W miarę, jak się posuwa, zgina się, aby sądzono, że rzeka staje się coraz głębszą, ale Niemcy dostrzegli kolano wystające z wody, i krzyk rozległ się na wybrzeżu. Wtedy wieśniak szepcze coś, jak pacierz poranny i przygina się coraz, coraz więcej—coraz głębiej zanurza się w tę wodę, która go zdradza, jakgdyby nie była francuzka, i nie chcę stać się głęboką. Ale on się coraz kurczy—maleje... Już jest w szemrzących jej toniach po ramiona i teraz obraca się, spogląda w tył na tych ludzi, co go tu pędzą, na wrogów swoich...

— Naprzód stary!... wołają.

On posuwa się dalej, ale przyklęka już prawie i woda zachodzi mu aż do brody... Prusacy podejrzewając wciąż podstęp krzyczą:

— Dalej! dalej, dalej stary...

Więc on dalej brnie. Pochyla głowę, jeszcze raz spojrzał za siebie... ale ułany się śmieją, wskazując mu rzekę.

Ponieważ ma twardy grunt pod stopami, potrzebuje tylko podnieść się, aby żyć, ale wzrok jego ogarnia teraz ziemię, niebo, słońce. wszystko, co znał i widział za dni życia dawnych. Nakoniec głowa zanurzyła się. Już go nie ma. Niemcy już go nie widzą.

Przestali się śmiać. —A!... utonął... wołają.

— Bród jest gdzieindziej — mówi dowódzca, i marszczy się, bo kto będzie mu teraz gruntował rzekę?

Niemcy naradzają się, a ciało starca bohatera unosi ze sobą fala pełna świetlanych odbłysków.

# PODRÓŻNICZKA ANGIELSKA

## nad jeziorem Tanganyika.

Że kobiety angielskie posiadają wysokie cnoty rodzinne—że są dobremi, poświęconemi matkami i żonami poważnych, uczciwych obyczajów, jest to już w Europie ustaloną o nich opinią. Łączą one z tem jeden jeszcze przymiot niemałego w życiu znaczenia: są fizycznie silne i na trudy wytrzymałe, ztąd też śmiałe i dzielne, puszczają się na dalekie morza i lądy, towarzyszą mężom w kolonizacyjnych, missyjnych ich pracach i umieją być najodważniejszemi na świecie podróżniczkami.

Wprawdzie wychowanie, jakie odbierają: przezorne, do praktycznego życia hartujące, bardzo wiele do tego się przyczynia. Że przecie jest to sprawa matek, które w dzieciach przyszłych ludzi widzą, i dla tej ich przyszłości stawiają sobie przed oczy rozumne, szlachetne ideały pożytecznego istnienia nie wypieszczonych, wychuchanych, lalek więc zdrowie i siła Angielek jest ich zasługą.

Zasługa pokaże się niemałą czytelnikowi, który dostawszy w ręce dziennik podróży i przebywania w okolicy jezior Afryki Środkowej M-rs Anny Hore (To lake Tanganyika in Bath Chair, by Annie B. Hore, 1 vol., London 1887, Sampson und Low)—dowie się, jaką to dzielną, odważną i wytrwałą była ta młoda kobiecinka, która z maluchnem, kilkumiesięcznem dzieckiem na ręku puściła się w drogę do męża, inżeniera i kommendanta marynarki missyonarzy angielskich na je-

ziorach Afryki Środkowej, kapitana Hore. On pojechał przodem, sondując grunt zawodowej karyery swojej, ona została w ojczyźnie, gdzie przyszło na świat dziecię, lecz w kilka miesięcy potem, gdy mąż pisze, że w Afryce nad Jeziorem Tanganyika ma się wznieść ich dom rodzinny, wybiera się w drogę tak spokojnie i poprostu, jak ktoś spełniający rzecz naturalną—obowiązek.

Dziennik podróży pisze też trochę na ten sposób: należy jej notować przebyte wypadki i wrażenia, aby z czasem zapomnieniu nie uległy i kreśli stylem nawet bardzo powszednim—poemat!... historyą rzadko spotykanej w kobiecie wytrwałości, odwagi i siły ducha.

Plan podróży — pierwszej, bo było ich trzy— wykreślał jej drogę, prowadzącą w prostej linii od wybrzeża Zanzibaru wskroś afrykańskiego lądu do jego wnętrza — do osady handlowej nad jeziorem Tanganyika: Udżydży. Puściła się tym szlakiem, jadąc na ośle, z dzieckiem przed sobą, upowitem „jak wałeczek.“ Ujechała już nawet w ten sposób mil 70, szkoda, że nie wiemy, czy angielskich, lub geograficznych, dociągnęła na szczęście, do missyi Mpuapua, lecz tu zatrzymać się musiała, i długo, bo zabójczy dla cudzoziemców klimat Afryki dał się uczuć biednej kobiecie. Uległa porażeniu słońca; wywiązała się z tego choroba ciężka, a zanim ją przebyła i nabrała sił dostatecznych do puszczenia się w drogę, pora roku, do podróży w tamtych stronach jedynie właściwa, już była na schyłku.

Więc zawraca się w tył, ale nie jest to zaniechaniem przedsięwzięcia. Wraca nawet do Anglii, aby przecież w roku następnym puścić się znów w podróż, już z pewnym zapasem doświadczenia. Przybywa do portu Quillimane i postanawia płynąć rzeką Zambezą, dalej jeziorem, można powiedzieć morzem śródziemnem, Nyassa. Według wszelkiego podobieństwa, drogę tę byłaby przebyła już szczęśliwie, ale zagradza ją znowu inna przeszkoda, równie nieprzezwyciężona, jak pierwsza. Portugalczycy, odznaczają się najbezwzględniejszem okrucieństwem względem krajowców w osadach swoich, i jako łowcy ludzi, zasilający handel niewolnikami, doprowadzili biedaków do powstania i ztąd każdy Europejczyk, każdy biały był przy zetknięciu się z nimi wystawiony na niebezpieczeństwo, potęgujące się niezmiernie dla kobiety samotnej i w dodatku z dzieckiem małem, a której orszak składał się właśnie ze służby i tragarzy Portugalczyków. Puszczać się w głąb' kraju w warunkach takich, byłoby zuchwalstwem i zgubą pewną, więc biedna ma znowu drogę przeciętą przed sobą, i znowu po kilku dniach podróży musi zawracać — przybywa z powrotem do portu Quillimene, pełna żalu i bolesnego uczucia drugiego już zawodu.

Aż tu spotyka ją wkrótce wiadomość radosna: otrzymuje z samego już Zanzibaru telegram, że mąż tam jest, że czeka na nią, i wzywa, aby przybywała do niego. Więc pakuje się raz trzeci, wsiada na parowiec, który ją wiezie do męża, a gdy zbliża się już do brzegu, na którym on ją oczekuje, ogarnia ją wzruszenie radosne: chwyta dziecko, synka, którego ojciec nie zna, i wyciągając ręce w przestrzeń, dzielącą ich jeszcze, ukazuje mu istotkę maleńką, którą nauczyła już wymawiać wyraz:—ojciec!

Teraz podróż już jest dla niej łatwą i szczęśliwą. Wyobraźni innej kobiety przedstawiałoby to jeszcze przepaść trudów i niewygód do przebycia, ale ona czuje inaczej, a przytem jest już teraz przy niej rzeczywiście ktoś, który umie być troskliwy. Tytuł jej książki, tłómacząc go dosłownie, jest: „Do jeziora Tanganyika w krześle kąpielowem,“ to jest w krześle na kółkach, w takiem, w jakich widzimy, że wozi się starców lub kaleki, i w jakich zataczają też w Anglii do kąpieli morskich panie, które nie chcą stąpać po ostrym żwirze nadmorskim, a głównie nie chcą pokazywać się ludziom w ubraniu kąpielowem nie dość okrywającem. Otóż mąż oczekujący na swoją wierną, wytrwałą żonę, wymyślił jej taki wygodny sposób przebywania pustyń Afryki. Gdzie droga będzie jakotako równa i możliwa, aby wózek mógł być toczonym po niej, Murzyni z orszaku popychać go będą. Gdzie zaś miejscowość na to nie pozwoli, wezmą go na rodzaj noszy, tak przez kapitana zbudowanych, aby wózek mógł zawisnąć na silnych rzemieniach u dwóch drągów mocnych, których końce opierałyby się na ramionach tragarzy. Szesnastu ich, dobranych najstaranniej, było przeznaczonych na zmianę do obsługi tego wózka, który miał nad sobą budkę z materyału nieprzemakalnego, i w którym Anna Hore, siedząc z dzieckiem na kolanach, miała przebyć trzysta mil drogi pod palącem niebem Afryki, przebywając pustynie, gorzej niżeli bezludne, bo kryjące w sobie bandy rozbójnicze Arabów, lub nikczemnych awanturników europejskich i amerykańskich, którzy mimo wszystkich usiłowań, czynionych przez rządy, a głównie przez rząd angielski, wiodą dotąd i pewno wieśdź będą jeszcze długo, okrutne rzemiosło łowców ludzi—handlarzy niewolników.

Straszne burze, panujące w tych podzwrotnikowych strefach, ku którym dążyła bohaterska kobieta, były jedną więcej groźbą, zawieszoną nad jej karetką nadpowietrzną, bo taką okazało się jej „Bath-Chair,“ przeważnie i niemal ciągle niesione na ramionach ludzkich.

Karawana kapitana Hore składała się z 400 ludzi, z których od 200 do 300 było na zmianę tragarzami. Nietylko samo bezpieczeństwo wymaga, aby wyprawy w głąb' Afryki były tak liczne. Zapasy, które koniecznie mieć trzeba ze sobą—zapasy nietylko osobistej potrzeby, jak pewne artykuły spożywcze, namioty, broń, i inne przedmioty, konieczne dla cywilizowanego człowieka w obozie, który rozbijać się musi dla odpoczynków i noclegów. Podróżnik afrykański potrzebuje zaopatrywać się w towar różny, który jest dla niego tem, czem dla nas wśród drogi pieniądze: monetą zamienną za to, co nabywa od krajowców: za żywność, źwierzęta pociągowe, przeważnie woły, muły lub osły i najem tragarzy pod ciężary, które nieść muszą na barkach, a za co, wypłata odbywa się co Sobota.

Co Sobota—jak opisuje Mrs Hore—trzeba było dać każdemu z 400 ludzi, co najmniej po cztery łokcie perkaliku jakiegoś, co wynosiło 1.600 łokci tygodniowo. W podróży trzymiesięcznej, czyni to 20.000 łokci towaru, przedstawiającego opłatę najmu ludzi, a ci nie są jeszcze najbardziej wymagającemi, choć praca ich jest ciężka i prawdziwie już w pocie czoła dokonywana. Ale karawana musiała opłacać się drogo królikom, przez których ziemie przeciągała, a była ich na drodze kapitana Hore setka cała, i pod szczególnie skomponowanym pretextem, że towarzyszyła mu biała kobieta, musiał opłacać wszędzie podwójny podatek za przepuszczenie go przez ich ziemie, jakgdyby wiózł towar, ulegający cłu drogiemu. Nie usuwało to jeszcze potrzeby podarunków; tamto było haraczem jakoby prawnym, a to duserem, który zyskuje podróżnikom łaski czarnych monarchów.

Prócz tego podróżnik afrykański spotyka po drodze stacye missyonarzy, a jest to zwyczajem, który stał się poniekąd obowiązkiem, aby ten, który przybywa tu później ze świata cywilizowanego, zaopatrywał w pewne zapasy tych, co tu już dawniej przebywają. Przecież było to poniekąd szczęściem, że paki podróżnego ładunku zmniejszały się, topniały zwolna, bo słabły też siły tragarzy i liczba ich malała: śmierć i ucieczki przetrzebiły tak karawanę, że ledwie zdołano dociągnąć do celu.

Podróż trwała dni ośmdziesiąt — ośmdziesiąt dni, przebytych pod niebem ziejącem płomienie, posuwając się po rozpalonym gruncie i nie mając żadnego dachu nad głową, gdy szalały straszne podzwrotnikowe burze, gdy straszne podzwrotnikowe uragany zamiatały pustynię. Brak, prawie ciągły, wody do picia, ciężko się dawał uczuwać podróżnym, lecz nie wszystko to jeszcze, z czem walczyć trzeba było. Obok uciążliwych trudów takiej drogi, obok znoszonych niedostatków i ciągle unoszącej się w powietrzu groźby spotkania się z jakiemi hyenami ludzkiemi: z handlarzami niewolników, którzy nieraz napadają na karawany i obdzierają, mordują podróżnych, zwłaszcza, jeżeli banda ta składa się z Arabów, pierś ludzką tłoczy tu boleśnie uczucie zgrozy, trudnej do odmalowania. Straszne, straszne są tajemnice pustyń afrykańskich, i Mrs Hore pisze, że szkielety ludzkie, a raczej czarne mumie, wysuszone na słońcu są to drogowskazy szlaków, któremi wdziera się tu człowiek biały, mordując i rabując z dzikością większą, niż jakiekolwiek z drapieżnych źwierząt Afryki.

Zbliżając się do stacyi Mpuapua, o jakie sześćdziesiąt mil od wybrzeża Zanzibarskiego, zaczęła spostrzegać od czasu do czasu coś czarnego, walającego się w piasku i kurzu po brzegach drogi. Zrazu nie przykładała szczególnej uwagi do tego *czegoś*, ale gdy spostrzegła, że powtarza się to wciąż i niezmiennie, jakgdyby znacząc drogę—zapytała, co to jest?.. i otrzymała wkrótce straszną odpowiedź, naocznie stwierdzoną, że są to wywędzone na skwarze słonecznym trupy murzyńskie. Handlarze niewolników, wiodą ku wybrzeżom morskim z wnętrza środkowych krain kordony niewolników, w sposób najstraszliwiej okrutny: pędząc ich najpośpieszniej, niedając pożywienia, nie troszcząc się, że nieszczęśliwych pali pragnienie Słabnących popędza bicz dozorców, najczęściej siedzących na mułach i śmierć wybiera ogromną dziesięcinę z tej trzody ludzkiej, która pada po drodze. Trupy, które przeszkadzają żywym ludziom na drodze, odrzuca się z niej tak obojętnie, jak te kamienie, które obrazić mogą nogi przechodnich, o pogrzebie zaś, o jakiem takiem uczczeniu przystojnem tych zwłok—nikt nie myśli tak, jak nikt prawie nie waży sobie życia tych nieszczęśliwych stworzeń Bożych. Wojując z niemi ogniem i mieczem, napadają podstępnie zbóje niecnotliwe wioski ich, skryte wśród palm i tamarynd, zwykle w nocy, szerząc razem z rzezią pożogę i uprowadzają wraz ze zrabowanemi trzodami bydła, ludzi, których potem gnają kupami wielkiemi, najśpieszniej jak można, najpierw dla tego, aby im ich nie odbito; i pragnąc z tego względu wydostać się co najprędzej nad morze; powtóre, z przyczyny, aby dłużej trwająca droga nie zmniejszyła zysku, jaki zamierzają mieć na tym czarnym towarze. Niech padnie trzecia część po drodze, to jeszcze korzyść będzie większa, niż gdyby mieli karmić i poić długo tę źwierzynę swoję. Wnętrze Afryki nie jest jeszcze wyludnionem i urządzona znowu wkrótce razzia nagrodzi im straty w tych, których czarne szkielety znaczą drogę ich przechodów.

(Dokończenie nastąpi).

---

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem **Godność kobiety**, przez H. Heinberg.

---

**TREŚĆ: Pogawędka.** — **Sonet Dantego**, przekład Felicyana. Szczęsną. — **Księżna Izabella**, (dalszy ciąg). — **Filistry**, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — **Nowiny paryzkie**, — **U Brodu**, przekład M. Kostrowickiej. — **Podróżniczka angielska nad jeziorem Tanganyika.**

**Dodatek obejmuje**: Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Godność kobiety**, przez H. Heinberg — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospedarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою.—Варшава, 30 Сентября 1887 года.

## Fartuszek dla dziewczynki od 2 do 4 lat.

Rycina Nr 1 i 22 w B. Nr 40. Deseń pier. str. tabl. Nr V, fig. 29.

Po dopełnieniu złożonej fig 29 i podłużeniu jej wedle potrzeby w kierunku strzałek, ukroić z płótna koloru surowego jedwabiu, jedną część złożoną wzdłuż środka, z uwzględnieniem różnicy konturów lewej połowy. Obrębić fartuszek u dołu na 3 cent., ułożyć w fałdy podług ryciny, zaszyć je; u góry dać ukośną listewkę i na niej i obrębku wykonać łańcuszek ściegiem rybiej łuszczki. U góry wszyć w karczek i połączyć z rękawkami obszytemi podług ryciny maszynowym szlaczkiem koloru surowego jedwabiu, podług ryciny 22, ozdobionym ściegiem rybiej łuszczki z pąsowej bawełny i szydełkową robotą z bawełny pąsowej i koloru surowego jedwabiu. Z tyłu zapina się na guziki i pętelki. Na przód karczka potrzeba dwa kawałki szlaczku 24 cent. długie, na każdą połowę pleców dwa kawałki 12 cent. długie, a na każdy rękawek 26 cent. długiego szlaczka maszynowego. Te ostatnie zeszywają się brzegami w kółko. Zrobić łańcuszek ściegiem rybiej łuski na szlaczkach i połączyć je szarą bawełną w następujący sposób: 6 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w ażurowy brzeżek z jednej strony szlaczku, odwrócić robotę, poczem na poprzednich ocz. z powrotem: 2 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 2 słup., po każdym słup. 2 pow. ocz., w 3 z rzędu ocz., 1 ścis. oczko w lewej strony w ażurowy brzeżek drugiego szlaczku, 2 pow. ocz. po 1 ścis. oczku w szlaczek w odstępach pół cent., * robotę odwrócić, 2 pow. ocz., 2 słup. pomiędzy słup., 2 pow. ocz. w obok będące 2 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następne pojedyncze pow. ocz. 2 pow. ocz., 2 sł. pomiędzy niemi 2 pow. ocz. w następne 2 pow. o., pomiędzy słupkami, 2 pow. ocz. 1 ścis. o. w brzeżek pierwszego szlaczka, robotę odwrócić, 3 pow. ocz., 2 razy naprzemian: po 2 słup., po każdym słup. 2 pow. ocz. w następne 2 o. pomiędzy słup., 2 pow. ocz.; z lewej strony z 1 ści. o. w brzeżek drugiego szlaczku, od * powtórzyć.

Połączywszy w ten sposób szlaczki wszystkich części, składa się części na rękawek przeznaczone tak, aby szew wypadał pod pachę fartuszka i wszywa się do karczka, podług ryciny 1. Wykrój szyi, oraz brzeg rękawka zdobi się następującą koronką, składającą się z 2 kolej: Kolej 1: Robotę zacząć z lewej strony, krętą bawełną koloru surowego jedwabiu, 1 ścis. ocz. w brzeżek szlaczku, * 2 pow. o. 5 słup. po każdym słup. 1 ocz. pow., w brzeżek szlaczku, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w brzeżek szlaczka, od * powtórzyć. Kolej 2 zacząć z prawej strony pąsową bawełną, * 1 pół-słup. w następne ścis. ocz., 1 pikot (to jest: 3 pow. ocz. i 1 ści. ocz. w poprzedni słup.), 4 razy naprzemian: 1 pół-słu. w pow. ocz., za następny słup., 1 pikot i od * powtórzyć. Wykonać przy dolnym brzegu karczka pąsową bawełną łańcuszek krzyżowych słupków, połączyć ją krytemi ściegami z górnym brzegiem fartuszka. * Na jeden krzyżyk 1 podw. słupek w brzeżek szlaczku, przerabiając tylko dolną żyłkę 1 słupek podług ryciny, w brzeżek szlaczka, przerobić górną żyłkę z następną żyłką poprzedniego podwójnego słup. i następnemi żyłkami, 1 pow. ocz., 1 słupek w środkową żyłkę poprzedniego podwójnego słup., 1 pow. ocz., od * powtórzyć.

## Serweta na parapet z haftowan. lambrekinem.

Rycina Nr 18 i 19 w Blu. Nr 41. Wzór pierw. str. tab. Nr VII, fig. 31.

Serwetka z poduszką na parapet okna, składa się z tła z ciemno-pąsowej bai i z lambrekinu haftowanego na kanwie „Aida", koloru surowego jedwabiu przerabianej złotem, włóczką hamburgską złotemi nićmi i takąż taśmą obszytą kwastami. Na taką serwetę przenieść deseń zębu, którego fig. 31 przedstawia wielkość na kanwę długą i szeroką, wedle potrzeby, stosując się do ryc. 19. Wykonać haft podług wzoru długiemi ściegami, podwójną hamburgską włóczką, oliwkowego, poziomkowego i niebieskiego koloru w kilku cieniach (każdy ścieg obejmuje 6 nitek kanwy, a po każdym ściegu 1 nitka odstępu). Przycerować deseń złotą nitką podług ryc. 18, objąć wszystkie kontury wzoru złotą tasiemką, 1/4 cent. szeroką, przymocowaną bronzową włóczką, dolny zaś brzeg lambrekinu sznurem z 5 nitek włóczki koloru piaskowego, przyszytego skośnemi ściegami, złotą nitką. Na kwasty ze smyrneńskiej włóczki oliwkowej, poziomkowej i niebieskiej wykonać szydełkiem 2 łańcuszki, na każdy 9 pow. ocz., następne ocz. opuścić i 8 ścis. łańc. ocz., od 8 do 1. Dolny koniec podwójnego łańcuszka, zdobi kulka z włóczki w tych samych kolorach.

## Koszyczek do roboty.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 40. Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 68.

Koszyk z łyczka 40 cent. długi, a 17 centim. szeroki, w środku, zwężony na bokach, na nóżkach z łyczka 12 cent. długich i na trzcinowych pałeczkach, wyłożony wewnątrz atłasem vieil-or, bufiasto ułożonym i odstającym przy górnym brzegu. Zewnętrzną stronę zdobi szlak z zębów, bombelki, kwasty i kokardy z wstążki. Przenieść deseń fig. 68, z uwzględnieniem ryc. 20, na sino-niebieskie sukno i wykonać haft bronzową i popielatą filozelą w kilku cieniach. Figury przedstawiające kwiaty, wykonać atłaskiem bronzowym jedwabiem, kontury objąć japońską złotą nitką, liście zaś i gałązki popielatym jedwabiem gałązkowym, supełkowym i pocztowym ściegiem, krzyżyki jasno-popielatym jedwabiem wykonać na górnym brzegu szlaczku, gałązkowym ściegiem. Po wykonaniu haftu, wyciąć w zęby u dołu, podług ryciny, nałożyć haft na koszyki, przymocować do każdego z ę b a kulkę z kwastem do górnego wycięcia tylko po 1 kwaście z sino-niebieskiej hamburgskiej włóczki i bronzowego jedwabiu; dodać na rogach kwasty i bombelki. Wystające uszko koszyka związać wstążką sino-niebieskiego koloru, 5 i pół c. szeroką, zdobiąc je sutemi kokardami, podług ryciny.

## Koronka minardisą i szydełkową robotą.

Rycina Nr 21 w Blu Nr 40.

Koronka wykonywa się szydełkową robotą, bawełną krętą Nr 70. Wziąść trzy kawałki minardisy odpowiedniej długości i wykonać szydełkiem z jednej

Nr 1. Suknia z flanelki w pasy. Przód (Do ryc. 3 w Blu Nr 40). Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 53 — 66

Nr 2. Suknia z satin-merveilleux i wełny.

strony pierwszego kawałka. Kolej 1 ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz. w następne ocz. 1 pow. ocz. Kolej 2 naprzemian: po 1 słup. w następne ocz., 3 pow. o., 3 o. opuścić. Kolej 3 i 4 z drugiej strony pierwszej minardisy, tak, jak 1 i 2 kolej. Wykonać przy 2 i 3 kawałku minardisy, po 4 rzędy takich samych kolei, jak 4 poprzednie, uważając przy wykonaniu 4 kolei, aby środkowe 3 pow. ocz., połączyć ze środkowem z następnych 3 pow. ocz. drugiej kolei poprzedniej minardisy. Kolej 13: * 3 razy naprzemian: 1 słup. w środkowe z 3 następnych pow. ocz., z jednej strony roboty, 3 o. pow., 3 słup. w następne 3 pow. ocz., 7 pow. ocz. w ocz. poprzedzające 3 ostatnie słupki, 2 pow. ocz. w słupek poprzedzający oczko poprzednio wykonane, 12 słupków w poprzednie 7 pow. oczek, od * powtórzyć. Kolej 14 z drugiej strony roboty kolejno: 1 słup. w każde ocz.

---

## Suknia z flaneli w pasy.

Rycina Nr 1. Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 53—66.

Kamlotowa spódnica, 212 cent. obwodu w dole mająca, obszyta tamże falbaną 10 cent. szeroką, na którą spada wolant 384 cent. szeroki, mający z przodu i tyłu spódnicy 58 cent. wysokości, na bokach 84 centim. z flaneli w pasy pąsowe i piaskowego koloru. Na tiunikę ukroić podług zmniejszonej fig. **53** i **54** po jednej części, podług fig. **55** jedną część złożoną wzdłuż środka (liczby będące w konturach, oznaczają długość i szerokość właściwą) ponaznaczać na materyale liczby i znaki wewnętrzne, zewnętrzne od punktu *a* do *b*, oznaczają miejsca znaków i linii. Umocować w przedniej części tiuniki (fig. **53**) fałdy, składając † na kropkach, przyszyć fig. **53** do **54** od liczby 48 do 49 i od liczby 49 do 50, przymocować † oznaczone literami, do punktów oznaczonych temi samemi literami, wyłożyć dolny brzeg fig. **53** i zeszyć brzegi materyału od 52 do 51 z 51, jak również część tylnego brzegu od liczby 51 do 53. Następnie umocować przednie części tiuniki fig. **53** i **54** u górnego i tylniego brzegu, od † do dwukropka, wzdłuż środkowej fałdy spódnicy. Na stanik ukroić z flaneli w pasy, po dopełnieniu złożonej fig. **64**, podług fig. **56** i **58** do **61**, **64** i **65** po dwie części, podług fig. **62** jedną część podług fig. **66** mankiety, podług fig. **57** jedną część złożoną wzdłuż środka, ale tylko z podszewki, podług fig. **63** dwie części. Te same figury, prócz fig. **57**, **63** i **64** skrajać z podszewki. Naszyć na kamizelce flanelą ułożoną w drobne fałdki, przystębnowane wzdłuż gładkich linii tak, aby leżały płasko u góry i u dołu, a odstawały nieco pomiędzy obydwoma liniami. Po zrobieniu zaszewek i zeszyciu pleców, przodów i boczków, podług liczb, przyszyć haftki, połączyć napierśnik z prawą stroną przodu od liczby 54 do 55 wzdłuż gładkiej linii, po przyszyciu na nim guzików i tasiemek tak, aby naśladowały dziurki. Zmarszczyć dolny brzeg tylnej części tiuniki (fig. **55**) w fałdy, przyszyć od liczby 61 do 66 wzdłuż gładkiej linii. Zrobić kołnierzyk, naszyć go wełnianą taśmą piaskowego koloru, po zeszyciu paska od liczby 67 do 68 naszyć go również taśmą, umocować prawy koniec od † do liczby 57, do prawej części przodu i zapinać z lewej strony. Wierzch rękawa (fig. **64**) zmarszczyć od * do liczby 70 i od * do liczby 73 i przy górnym brzegu, zamocować 4 krzyżyki na kropce, układając w fałdy, nafastrzygować na podszewce, zeszyć ze spodu od liczby 70 do 71 i od liczby 72 do 73. Mankiety ubrać wełnianą taśmą i wszyć rękawy w stanik tak, aby punkt 73, trafiał na punkt 73 przodu stanika.

## Suknia z „satin-merveilleux“ i wełny.

Rycina Nr 2.

Spódnicę jedwabną ubiera się z przodu i z jednego boku falbaną ułożoną w fałdy, 7 cent. wysoką, z sinego satin-merveilleux. Ukroić z gładkiego kaszmiru, podług fig. I jedną część; liczby w konturach oznaczają długość i szerokość części, liczby zewnętrzne konturów od litery *a*, oznaczają miejsca punktów, wewnętrzne służą do zaszycia części. Boczny i dolny brzeg tej części obszyć szlakiem haftowanym na 7 cent. szeroko umocować † na kropce podług liter. Zeszyć miejsca oznaczone gwiazdeczkami, przez co utworzy się fałda, i wyciąć materyał wystający nad fałdą. Następnie zeszyć przód i tył upięcia, od liczby 1 do 2, zrobić w tylnej połowie, w odległości 155 cent. od brzegu nacięcia na rozporek 30 cent. długie, wszyć upięcie że spódnicą w pasek i umocować miejsce oznaczone podwójną linią na 34 cent. od górnego brzegu na spódnicy. Stanik z wełny w pasy jest ubrany z przodu kamizelką z gładkiej wełny naszytej taśmą, zapina się na guziki i ubiera wyłogami z aksamitu przy rękawach i kieszeniach.

## Zimowe damskie rękawiczki.

Rycina Nr 7—9.

Rycina przedstawia rękawiczkę w jednym kolorze, drugą w poprzeczne pasy,

■ czarny, ▫ ciemno-lila, ▫ jasno-lila, ▫ ciemno-pąsowy, ▫ jasno-pąsowy, ▫ ciemno-niebieski, ▫ jasno-niebieski, ▫ pierw. (najcie.), ▫ drugi, ▫ trzeci (najjaśn.) bronzowy, ▫ ciemno-oliwkowo-zielony, ▫ jasno-oliwkowo-zielony, ▫ pierw. (najci.), ▫ drugi, ▫ trzeci (najjaś.) niebiesko-zielon. Nr 3. Pas na krzesło lub pokrycie na parapet krzyżową robotą.

oraz mitynkę, którą można nakładać na glansowaną rękawiczkę. Wszystkie są trykotowe, wełniane.

## Zimowe męzkie rękawiczki.

Rycina Nr 10 do 12.

Rycina 10 przedstawia rękawiczkę z materyału supełkowego z wierzchu a ze skóry pod spodem, zdatne głównie do podróży; rycina 11 i 12 przedstawia dwie rękawiczki trykotowe wełniane w pasy poprzeczne.

Nr 4. Okrycie z dyagonalu. Plecy. (Do ryc. 15 w Bl. Nr 40).

Nr 5 Okrycie z materyału wełnianego w kratę. Przód. (Do r. 7 w Bl Nr 40).

## Kołnierzyk damski szydełkową robotą.

Rycina Nr 18 i 19. Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 67.

Kołnierzyk szydełkową robotą, z krętej kremowej bawełny, zapięty z boku, zrobiony podług fig. **67** (różnica kontórów fig. **67** przedstawia boczny brzeg tylnej połowy). Składa się z 124 gwiazdek, z których 28 przypada na kołnierzyk. Na każdą gwiazdkę okręcić bawełnę 15 razy na wałeczku 2 cent. obwodu mającym, zdjąć nitki z wałeczka, umocować 1 ścis. oczkiem i wykonać w tem kółko z 35 podw. słup. stanowiących kolej 1. Kolej 2: 12 razy naprzemian po 7 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w co trzecie ocz. poprzedniej kolei. Kolej 3: 4 ścis. ocz. łańc. w następne 4 pow. ocz. poprzedniej kolei, 12 razy naprzemian po 7 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe ocz. następnego 7 pow. ocz. poprzedniej kolei. Nitkę zakończyć i obciąć. Łącząc gwiazdki podług ryc. 18 i 19, przyczepiać środkowe pow. ocz. ostatniego rzędu łańcuszka, z takiem samem ocz. drugiej gwiazdki. Kołnierzyk składa się z 2 rzędów po 14 gwiazdek, których dolny rzęd połączyć z wykrojem szyi.

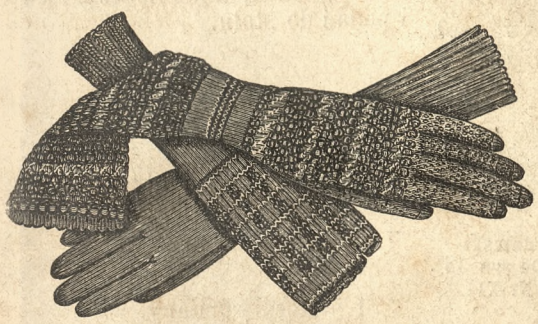

Nr 7 do 9. Zimowe damskie rękawiczki.

Nr 6. Paltocik sukienny. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 17—23.

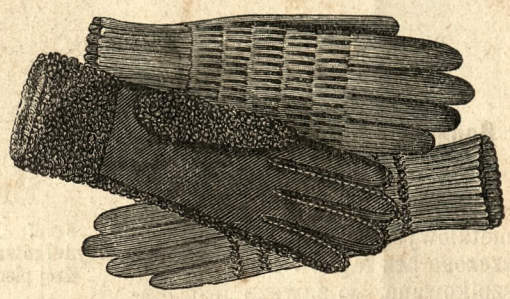

Nr 10 do 12. Zimowe męzkie rękawiczki

## Suknia wieczorowa z batystu wełnianego i koronkowego materyału.

Rycina Nr 13.

Spódnicę z satin-merveilleux koloru „saumon“, obszytą u dołu małą falbanką, zdobi z przodu wysoki koronkowy wolant. Upięcie spadające w gładkich fałdach z lewej strony, tworzy z prawej strony koszyczek i jest połączone ze stanikiem, który jest wycięty z przodu „en coeur“. Napierśnik zasłaniający to wycięcie, jest z ufałdowanego koronkowego materyału, spada z przodu aż do dołu spódnicy. Z tyłu upięcie sute i fałdziste zdobią wyłogi z batystu wełnianego naszyte jedwabnym haftem. Wyłogi napierśnika zdobi frendzla z grelotek.

## Suknia wieczorowa z „voile“ i koronki.

Rycina Nr 14.

Spódnica z kremowego kamlotu, obszyta u dołu wązką falbanką z „voile“ tegoż koloru. Przód i lewy bok naszyty koronkowemi falbankami ułożonemi w fałdy, u góry których naszyty galon z pereł białych. Reszta spódnicy ubrana wysokim wolantem z „voile“. Tiunikę i stanik z tegoż materyału zdobi marszczona koronka, oraz pasek, kokardy i rozety z ciemno-pąsowej aksamitki.

Nr 13. Suknia wieczorowa z wełnianego batystu i koronkowego materyału.

Nr 14. Suknia wieczorowa z „voile“ i koronki.

## Okrycie dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

Rycina Nr 20. Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 45—52.

Okrycie z czerwonego i niebieskiego supełkowego materyału, ma w około falbanę ułożoną w fałdy, 29 c. wysoką, a 170 cent. szeroką, u góry której przyszyty jest sznur 158 cent. długi, zakończony pomponami, końce którego związane są z przodu. Na to okrycie ukroić z materyału, podług fig. **46** do **48**, **50** i **51** po dwie części, podług fig. **52** wyłogi do rękawów z niebieskiego aksamitu, merli i podszewki, podług fig. **49** kołnierzyk i podług fig. **45** jedną część złożoną wzdłuż środka, ale tylko z podszewki. Następnie pokryć napierśnik muślinem i materyałem supełkowym ułożonym w fałdy, zeszyć plecy, przody i boczki podług liczb, obszyć falbaną i sznurem; przyszyć napierśnik do pra-

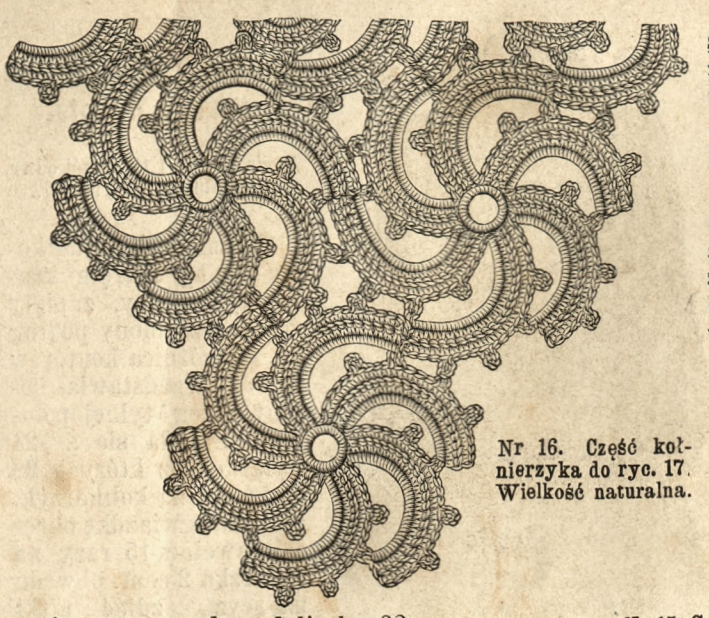

Nr 16. Część kołnierzyka do ryc. 17. Wielkość naturalna.

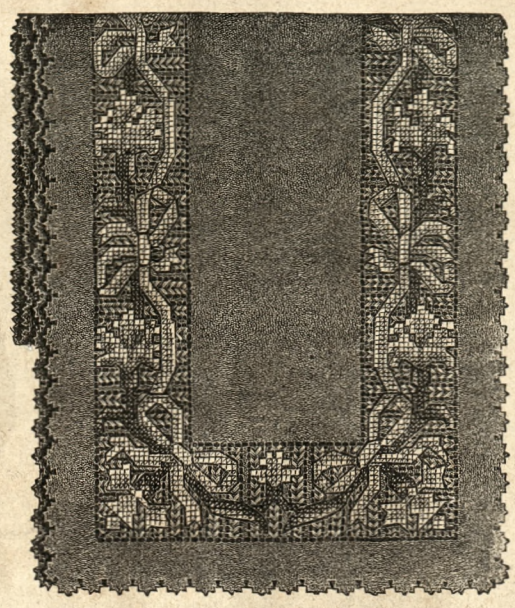

Nr 15. Serwetka krzyżowym i Holbeina ściegiem na dziurko. suknie.

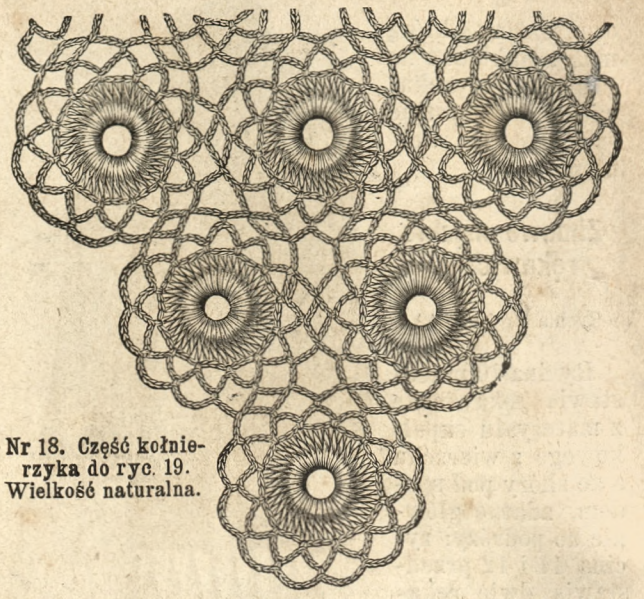

Nr 18. Część kołnierzyka do ryc. 19. Wielkość naturalna.

wej strony przodu, od liczby 32 do 33. Po zrobieniu kołnierzyka wszyć takowy od liczby 38 do 42 przyszyć guziki, zrobić dziurki i podług liczb wszyć rękawy z mankietami.

## Przepisy gospodarskie.

### Podanie młodych kuropatw.

Na jesieni kuropatwy są jeszcze małe, podają się więc na metalowych rożenkach. Oczyszczone bez łepków i łapek, naszpikowane, co zawsze jest lepsze, jak obłożone słoniną, kuropatwy upiec na prędkim ogniu, na rożnie. Po upieczeniu przekroić każdą na połowę, włożyć przygotowaną tartą przesianą bułkę, wymięszaną z młodem masłem, pieprzem i odrobiną soku cytrynowego, następnie włożyć po dwie na poprzek, na małe srebrne rożenki, ułożyć na podłużnym półmiseczku z rożenkami, kładąc w poprzek półmiska, polewać młodem masłem, z odrobiną rumianej bułeczki, bo dziś już nie modnie posypywać drób lub ptaszki dzikie bułeczką przy pieczeniu. Na dwóch podłużnych rogach półmiska położyć świeżej sałaty, rozdzielając listki główki i podać do stołu.

*L. Ć.*

Nr 17. Kołnierzyk damski szydełkową robotą. (Do ryc. 16). Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 30.

Nr 20. Okrycie dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Przód (Do ryc. 13 w Bl. Nr 40). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 45--52.

Nr 19. Kołnierzyk damski szydełkową robotą. (Do ryc. 18). Krój odwr. str. tabl. Nr XII. fig. 67.

## Obiad na Niedzielę.

1. Rosół rumiany.
2. Majonez z kury.
3. Kalafiory.
4. Cąber barani.
5. Suflet z jabłek.

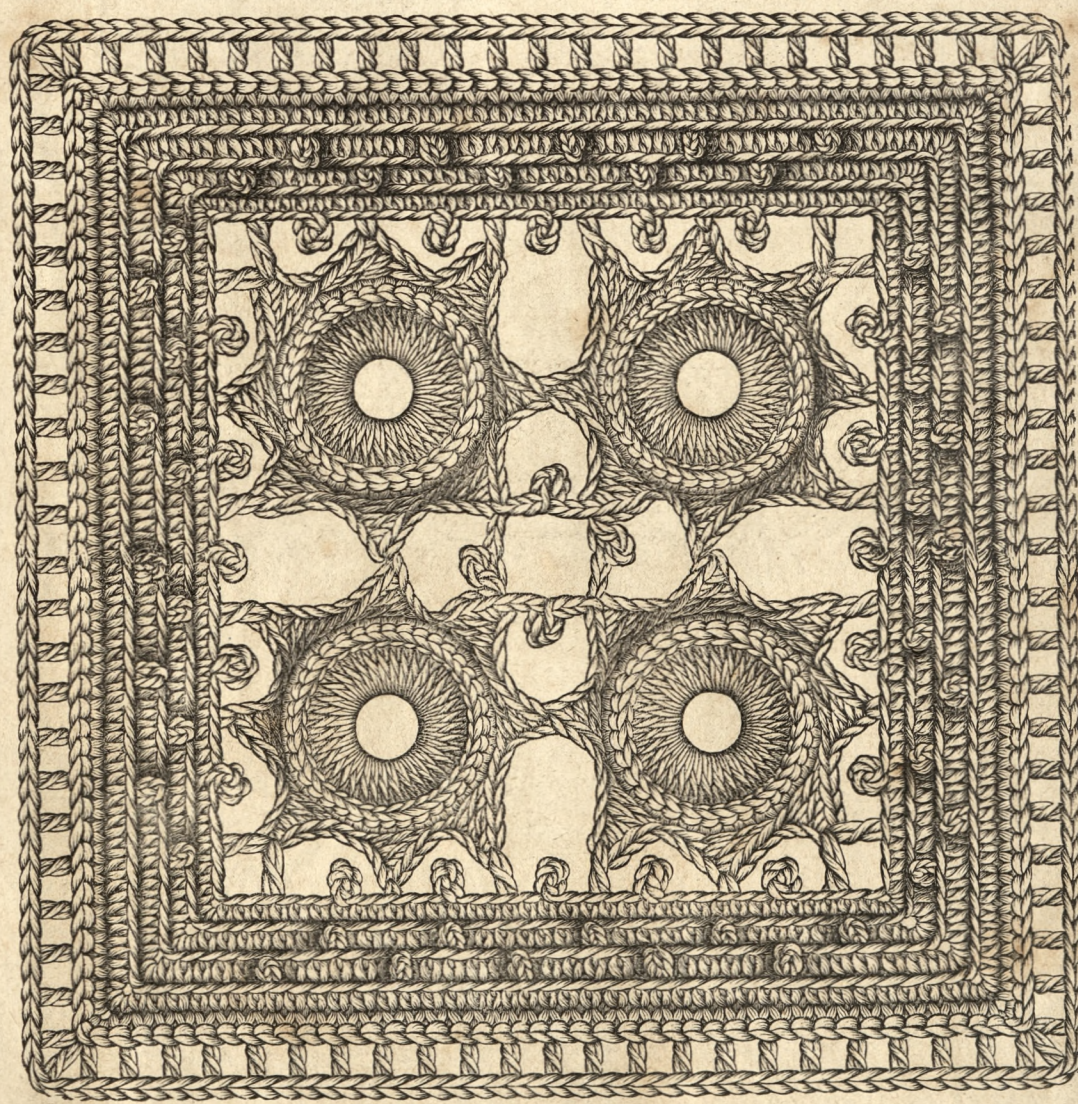

Nr 23. Kwadrat szydełkową robotą.

### UWAGA.

Opis ryciny 15 do 17 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do zeszłego numeru.

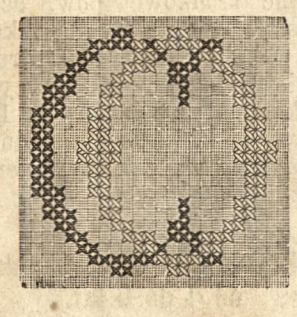

Nr 21. Znak haftowany.

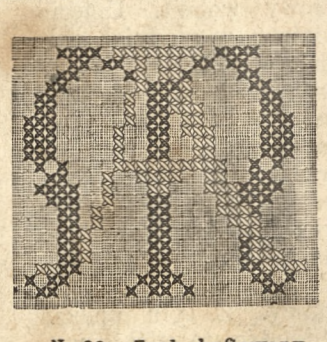

Nr 22. Znak haftowany.

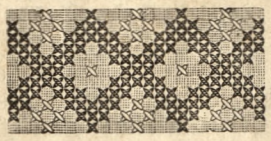

Nr 24. Szlak krzyżową robotą.

Nr 25. Szlak krzyżową robotą.

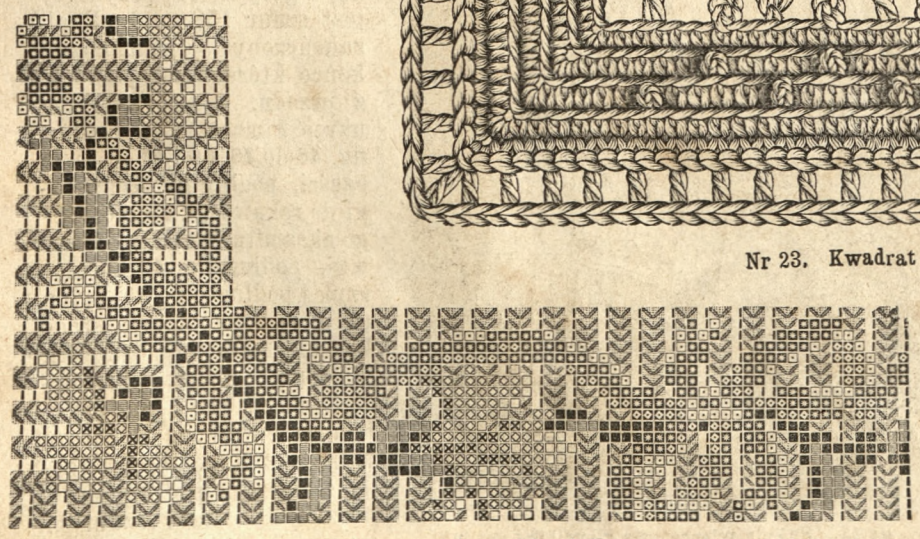

■ ciemno-zielony, ▪ jasno-zielony, × pier. (najciem.), ⊠ drugi, ⊡ trzeci (najjaś.) niebieski, ⊡ pier. (najc.), ⊡ drugi, ⊡ trzeci (najjaś.) modny, ' tło ścieg Holbeina pąsowym jedwabiem.
Nr 26. Wzór na serwetę ryc. 15 krzyżową i Holbeina robotą.

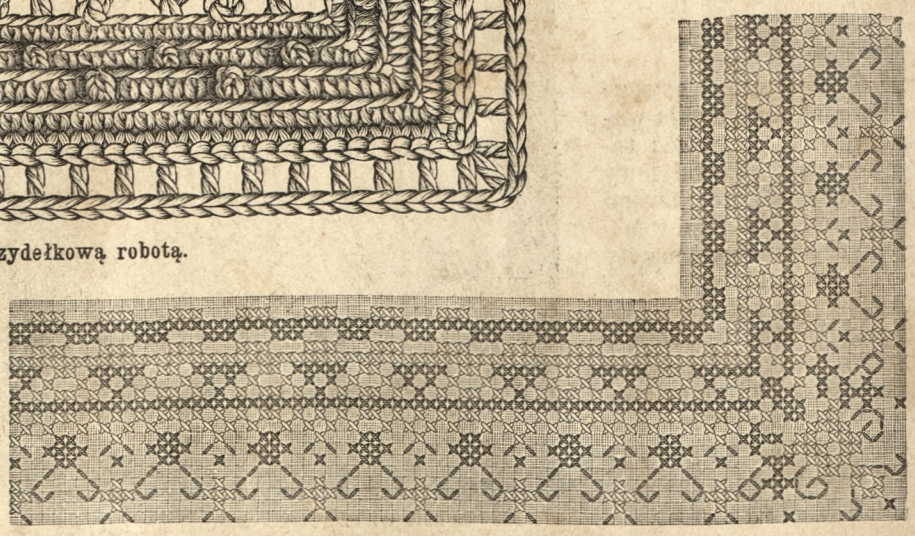

Nr 27. Szlak do kołder krzyżową i Holbeina robotą.

Дозволено Цензурою. Варшава 30 Сентября 1887 г.

Warszawa — Druk S. Orgelbranda Synów. Krakowskie-Przedmieście Nr 60.